

17.7.4.65.

**ROZMOWY
MATKI Z DZIEĆMI**

PRZEZ

AUTORKĘ

PAMIĘTNIKÓW MŁODEJ SIEROTY



WARSZAWA,

NABŁADEM G. SENNEWALDA księgarza,

PRZY ULICY MIODOWEJ NR 481.

1841.

ЗАЛА
ШКАФЪ
ПОЛКА

№ 65

ROZMOWY MATKI Z DZIEĆMI

ROZMOWY
MATKI Z DZIEĆMI.

WYDAWSTWO KSIĘGARNI KRAJEWYCH W WARSZAWIE

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

W Drukarni Maksymiliana Chmielewskiego.



na Cyfry w Litogr. Banku.

ROZMOWY MATKI Z DZIEĆMI

PRZEZ

AUTORKĘ

Pamiętników Młodej Sieroty.



W WARSZAWIE,

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA,

PRZY ULICY MIODOWEJ Nro 483.

1841.

Wstęp.

W rozmowach matki z dziećmi, nie miałam na celu stawiać przykładów jakim sposobem kształcić należy młodociane umysły;— zdolności ich bowiem, pojęcie, charakter, tak się od siebie różnią, że na to nie podobna żadnych ustanowić prawideł, i tylko oko matki dójrzy właściwą ku temu drogę.— Nie raz jednakże widziałam dzieci nad swój wiek myślące, nie raz słyszałam jak

głębokie zadawały pytania i jak je powierzchowną zbywano odpowiedzią, pod pozorem: że nie można dzieciom wysokich przedmiotów objaśniać.— Przekonana o błędności tego zdania, umyśliłam tu okazać że choć najwyższym punktem oświaty jest dokładne poznanie dobroci Boga, dzieł Jego, i powinności naszych, wszelako od pierwszych chwil życia należy dzieci do tego celu prowadzić; z każdej drobnostki, z każdego pytania można je przywieść do rozważania wielkości Stwórcy, można w małych sercach wzbudzić wdzięczność ku Niemu, a tak, pomatu, nieznacznie ale gruntownie wznosić trudną wychowania budowę.

Czuję że ogłoszone teraz rozmowy obejmują zaledwie tysięczną część przedmiotów z którymi dzieci zawczasu ob-

znajmiać trzeba, lecz niechaj choć w kilku główkach krzywe zdanie sprostują, niech wzniesą chęć zastanawiania się, a już praca moja nie będzie daremną, już znajdzie zachętę, i z czasem, może coś dokładniejszego w tym zawodzie wykona.

ROZMOWA I.

ŚWIAT, ZIEMIA.

Letnim wieczorem matka z dwójgiem dzieci siedziała w pokoju; sama zajęta była jakąś robotą, ośmioletnia Antosia stała zamyślona w otwartém oknie, a rokiem od niej młodszy Józio grał sam z sobą w piłkę przy ścianie.

Nagle dziewczynka podniosła spuszczoną główkę.

—Jak bym ja téż chciała wiedzieć co jest świat! zawołała.

J Ó Z I O.

Wielka mi rzecz! świat, to ziemia.

A N T O S I A.

Słyszałeś to od Jakóba, ale pamiętasz przecie jak nam proboszcz mówił, że słońce, gwiazdy, morza, to wszystko świat.

J Ó Z I O.

Już to co jest świat to jeszcze nie wiem, ale wierz mi Antolko że jest okrągły i toczy się dzień i noc, tak ot jak moja piłka.

A N T O S I A.

Co też ty prawisz! gdyby był okrągły to by przecie nie miał końca, a ja nie raz słyszałam że ludzie idą daleko, daleko, aż na koniec świata.

M A T K A.

Żeby Antosia o wszystko czego nie rozumie pytała mamy, nie potrzebowała by myśleć na próżno, i wierzyć bredniom które się jej obijają o uszy.

A N T O S I A.

Ah mammo! bo ja nie wiedziałam że ty znasz świat i żeś go cały widziała.

M A T K A.

Ani ja, ani żaden człowiek nie może przejrzeć całego świata, wiedzieć o wszystkiem co on w sobie mieści, ale wiele już części jego odkryto i zgłębiono, a ile wiem z tego, tyle wam dzieci moje opowiedzieć mogę.

A N T O S I A.

Więc to jednak prawda że ten świat

jest wielki. — Ale jak on też dużym być może.

M A T K A.

Nie podobna tego wymierzyć, lecz jeżeli chcesz mieć jakie wyobrażenie o wielkości jego, zastanów się cokolwiek. Znasz ty Warszawę.

A N T O S I A.

Znam, przecież to jest miasto gdzie Babunia mieszka.

M A T K A.

Czy ci się to miasto małym wydaje?

A N T O S I A.

Gdzież tam! jak to długo trzeba jechać od mostu nim się stanie na Nowym świecie, a to jeszcze nie koniec Warszawy.

M A T K A.

Wiesz i to zapewne że Warszawa jest największym naszym miastem; ale w całym kraju jest miast mniejszych kilkadziesiąt, miasteczek więcej daleko, a wsi tyle żebyście ich zliczyć nie umieli.

J Ó Z I O.

Już ja o tém słyszałem moja mamo, ale nie rozumiem dobrze co to jest kraj.

M A T K A.

Jest to jak już powiedziałam większy lub mniejszy kawał ziemi na którym mieszkają ludzie mówiący jednym językiem, mający jednakowe zwyczaje, jeden rząd, i kochający się jak bracia.

A N T O S I A.

To prawda! a nawet bardzo łatwo

poznać gdzie się jeden kraj kończy a drugi zaczyna; pamiętasz Józiu jakieśmy na wiosnę jeździli do Pruss do cioci, choć tam takie same domy i ludzie, a zaraz inaczej; nie tak się ubierają, nie tak mówią jak u nas, znać że to nie Polska.

M A T K A.

Otóż lube dzieci, takich krajów jak Polska, jak Prussy, i większych jeszcze kilkadziesiąt składają dopiero jedną część ziemi;— takich części jest pięć.

J Ó Z I O.

Wiem, wiem, Europa, Azja, Afryka, Ameryka i Australja.

M A T K A.

Przy każdej z tych części są jeszcze morza, zajmujące tyle miejsca ile go

kraje zajmują, a to wszystko razem tworzy kulę ziemską.

J Ó Z I O.

A widzisz Antosiu! nie mówiłem ci że ziemia jest światem, i że świat jest okrągły jak kula.

M A T K A.

Mylisz się, nie świat ale ziemia ma kształt okrągły; ziemia zaś choć nam się tak wielką wydaje jest tylko małą częścią świata.

A N T O S I A.

Czy mama żartuje? a cóż jest większym od ziemi?

M A T K A.

Słońce, i wiele z tych gwiazd które wieczorem jak drobne światełka widzimy nad naszymi głowami.

ANTOSIA.

Nie mam, to być nie może! to jak gdyby kto powiedział że nasza lampa większa od salonu.

M A T K A.

Zdaje ci się to niepodobnym a jednakże tak jest w samej rzeczy, po długich latach namysłu udało się ludziom wynaleść sposób mierzenia przedmiotów takich nawet które ledwie okiem dojrzyć można.

J Ó Z I O.

I wymierzyli że słońce większe od ziemi.

M A T K A.

O wiele razy.

ANTOSIA.

A dla czegoż nam się takie małe wydaje?

M A T K A.

Bośmy od niego niezmiernie daleko, a więcie dobrze, że każda rzecz z daleka mniejszą się niż z bliska wydaje.

J Ó Z I O.

Gdyby mi to nie mama powiedziała to bym nie uwierzył.

ANTOSIA.

Ani ja. — Ale droga mam, mówiłaś że ziemia jest okrągła, to chyba nie na całej ziemi ludzie mieszkają? bo weźmy ot ten kłębek, choćym niewiem jak wiele perełek nasypała na niego, to się ledwie na jednej stronie



utrzymają, a druga zawsze pustą zostanie.

M A T K A.

Ziemia ma taką własność że wszystko przyciąga do siebie co się tylko na niej znajduje, dla tego więc ani my, ani zwierzęta, ani domy nie odpadają od ziemi choć ona się nie ustannie obraca.

A N T O S I A.

Więc to jednak prawda że się ziemia z nami obraca? dla czegoż ja tego nie widzę?

M A T K A.

Dla tego że ten obrót odbywa się powoli i nieznacznie.— Czy jadąc po równej drodze w zamkniętym powozie możesz spostrzedz o ile się posuwasz?...

A N T O S I A.

Nie..... rozumiem teraz że to wszystko może być tak jak mama mówi, ale to zawsze rzecz bardzo dziwna.

M A T K A.

Lepiej więc skończmy już tę rozmowę, wiecie że wam niechętnie wiele nowych rzeczy od razu powiadam, bo w tak małych główkach łatwo się wszystko pomieszać może.

A N T O S I A.

Już tylko słóweczko kochana mamo! jeżeli się nasza ziemia tak po czém toczy jak piłka po ziemi, jakimże sposobem nie się nie skręci, nie zgniecie, nawet okna inspektowe i szklane dzwony w ogrodzie?

M A T K A.

Gdyby się ziemia po czém twardém toczyła, wtedy moje dziecko nie tylko okna, ale ani domy, ani ludzie, ani najwyższe góry nie zostały by w całości, ale ona się obraca nie dotykając niczego, oprócz powietrza wśród którego jest zawieszona, równie jak słońce, gwiazdy....

ANTOSIA (zakrywając oczy).

Ah w głowie mi się kręci! mamó! Józiu! dajcie mi ręce my w powietrzu wisimy! trzymajmyż się przynajmniej mocno, żebyśmy razem zostali.

M A T K A.

Czy dopiero od téj chwili wisimy Antosiu? wszak wiesz ile tysięcy lat ziemia w tém samym miejscu zostaje w

którem ją Bóg umieścił, dla czegoż teraz lękać się zaczynasz?

ANTOSIA.

Bo nie wiedziałam żeśmy w takim niebezpieczeństwie,— droga mamó! jak to smutno pomyśleć że kiedy ja się w najlepsze bawię, cała ziemia z naszym domem, ogrodem, z tobą i tatką, może spaść i Bóg wie gdzie polecieć.

J Ó Z I O.

Albo, że jaka ogromna gwiazda może nam spaść na głowy i wszystkich pozabijać.

M A T K A.

Dzieci moje! z kądże wam ta obawa? nie wiecież że Bóg stwarzając świat cały każdej rzeczy miejsce naznaczył? ziemia i wszystkie ciała niebieskie po-

ruszają się i toczą po téj tylko drodze, którą im Stwórca wskazał, nigdy żadne z nich na włos jeden bez jego woli nie zboczy.—

JÓZIO.

Ale gdyby Bóg chciał?....

M A T K A.

Mógłby wszystko zniszczyć jak wszystko stworzył, to jest jedném słowem; ale ten Bóg co tak mądre ustanowił prawa, co wszystko tak starannie zachowuje nie zniszczy nic bez potrzeby.

A N T O S I A.

Bo by też to smutno było!

M A T K A.

Dla czego?

A N T O S I A.

Ależ mamó, gdyby naszej ziemi nie

było, gdyby ona się kiedy skruszyła to i my byśmy pomarli.

M A T K A.

Alboż nie możemy umrzeć i teraz choć ziemia jest na swoim miejscu?....

JÓZIO.

Prawda! a potem wszak ty mamó powiadasz, że umrzeć to nie tak wielkie nieszczęście dla dobrych dzieci.

M A T K A.

Słusznie mówisz Józiu, ale śmierć dziecięcia jest wielkiem dla rodziców zmartwieniem. —

A N T O S I A.

To my pewno nie prędko pomrzemy, bo ja co dzień Boga proszę żeby od mamy zmartwienia oddalał.

M A T K A.

I czemuż to cię zasmuca?

A N T O S I A.

Bo kiedy te gwiazdki co mi się tak małémi zdawały jak ziarneczka grochu, większe są od ziemi, jakaż ja jestem maleńka.

J Ó Z I O.

A dopieroż ja com jeszcze mniejszy od ciebie! już bym wolał być słońcem jak człowiekiem.

A N T O S I A (ze śmiechem).

Prześlicznie byś wyglądał! co za nos! a uszy! a oczeczki malutkie! co do mnie, to wolę być małą dziewczynką niż największym a niezgrabnym słońcem.

M A T K A.

Dla tego zapewne że ci się twoja postać piękniejszą od słońca wydaje.

A N T O S I A.

Alboż nie prawda?

M A T K A.

Prawda moje dziecko, i na to się zgadzam że człowiek porównany z ogromnemi innemi ciałami jest maleńkim ledwie dojrzanym proszkiem.— Jednakże Antosiu człowiek ma większą moc, większe znaczenie niż wszystko co się w całym stworzeniu zawiera.

A N T O S I A.

Mnie się tak nie zdaje; wszakże najprostsze zwierzęta mocniejsze są od nas, wszak koń, wół, ciągnie wozy którychby czterech ludzi nie poruszyło z miejsca.—

M A T K A.

A któż te bydlęta do wozu zaprzęga?

kto niemi kieruje jeżeli nie człowiek?
kto słonie, wielbłądy lekką laseczką
pędzi przed sobą? kto lwy i ty-
grysy oswaja jeżeli nie człowiek?.....
prawda, gdyby tylko siłą rąk swoich
chciał walczyć, nic by nie dokazał, ale
wiecie że Bóg człowiekowi dał rozum,
rozumem to on włada nad wszystkiem,
rozumem wynajduje sposoby podbicia
sobie ogromnych zwierząt, przed rozu-
mem człowieka upokarza się wszystko
i uznaje go za pana.

ANTOSIA.

Ale téż to nie każdy człowiek rozu-
mny. —

M A T K A.

Bóg tak sobie z nami postąpił jak
dobry ojciec z dziećmi; każdemu dał
część rozumu, jak by kawał dobrej

roli; kto swoje pole orze, kopie, dobrém ziarnem zasiewa, i chwasty wyrwa, ten się pięknego żniwa doczeka; tak i z rozumem; kto się uczy, uważa, starszych chętnie słucha, ten z czasem będzie mądrym i światłym. Kto zaś woli próżnować niż pracować ten ani z pola, ani z rozumu pożytku mieć nie będzie.

J Ó Z I O.

Czy nikt oprócz człowieka nie ma rozumu?

M A T K A.

Zwierzęta mają pojęcie, mogą się nauczyć tego co im człowiek pokazuje, ale myśleć sam przez siebie, rozważać nad tém co widzi może tylko sam człowiek.

ANTOSIA.

Dla czego jednak Bóg dał rozum człowiekowi a nie innemu stworzeniu?

M A T K A.

W tém właśnie widzimy wielkość Boga;— Jego wola może najmniejszą istotę nad największą wywyższyć.— Kiedy Bóg stworzył słońce, ziemię, gwiazdy, wyznaczył im drogę, i powiedział: *»tędy chodzić będziecie«* a słońce, ziemia, gwiazdy, poruszają się podług jego woli, nie wiedząc i nie myśląc dla czego.— Ale stworzywszy drobnego człowieka Bóg rzekł, *»daję ci wolną wolę chodź gdzie chcesz, rób co chcesz, tylko kochaj Boga nad wszystko, a bliźniego jak samego siebie.«*—

J Ó Z I O.

A więc nikomu Bóg się kochać nie kazał?

M A T K A.

Nikommu więc Bóg tego nie powiedział; zwierzęta nie wiedzą ani myślą kto ich stworzył, a te ogromne światła w powietrzu, te góry nad ziemią, te drzewa wysokie nie mają głosu aby go wielbić.— Tylko człowiek czuje że jest nad nim Bóg dobry, tylko człowiek może powiedzieć co myśli, może prosić i dziękować stwórcy swojemu.

ANTOSIA.

To jednak piękna rzecz być człowiekiem mamó! szkoda tylko że to na ostatku trzeba umrzeć koniecznie.

M A T K A.

Uważ moje dziecko jak i w tém człowiek jest szczęśliwszy od wszystkiego na świecie.— Bóg stworzył człowieka

podobnym do siebie; nie myślcie jednak aby Bóg miał takie usta, oczy, ręce, jak my mamy, tego nikt niewiedział i widzieć nie może, ale Bóg jest wiecznym, Bóg nigdy żyć nie przestanie, i podobną do siebie nieśmiertelną duszę dał człowiekowi; ta dusza ożywia nasze ciało, pobudza nas do czynności, i kiedy człowiek umiera, kiedy nam się zdaje że już się wszystko dla niego skończyło, kiedy jego ciało ziemią przysypią, dusza wznosi się do Boga i zostaje przy nim na wieki.

J Ó Z I O.

Co to są wieki?

M A T K A.

Jeden wiek ma sto lat, a że Bóg zawsze żyć będzie, więc jeszcze nie jedno sto lat i dusze nasze żyć z nim będą.

Zamysliły się dzieci, a po niedługiej chwili Józio rzekł z uśmiechem:

—Już teraz nie żałuję żem człowiekiem, bo choć ja taki mały mogę sobie żartować z wszystkiego; ta ziemia taka wielka żem jęj się dziwił i lękał wczoraj, nie może się ani ruszyć z miéjsca; nic nie wie, nic nie czuje, toczy się i toczy ale nie wie dla czego — a ja tu mogę po niéj skakać, mogę ją deptać jak mi się podoba...

M A T K A.

O tém jednakże pamiętać powinienes że jak Ci Bóg dał wszystko tak odebrać może, i że nie należy pysznić się z niczego.

A N T O S I A.

Mówiłaś nam mamó nie raz że wszystko co mamy, zdrowie, dom, ubiór,

żywność, wszystko to jest w boskim
ręku, jednak mnie się zdaje że jednéj
rzeczy nawet sam Bóg odebrać nam
nie może.

M A T K A.

Cóż to takiego Antosiu?

A N T O S I A.

Duszy nieśmiertelnéj. — Przecież co
Bóg raz powie tego już nigdy nie od-
mieni, więc choćbyśmy nie zasługiwali
na to, nasza dusza zostanie nieśmier-
telną.

M A T K A.

To prawda Antosiu, ale powinniśmy
żyć dobrze, kochać Boga, wypełniać
co On kazał, bo właśnie ta nieśmiertel-
ność duszy co nas nad wszystko wy-
nosi, może się stać źródłem najwię-
kszego nieszczęścia.

ANTOSIA.

A jakimżeby sposobem?

M A T K A.

Wiécie że Bóg przeznaczył nagrodę dla cnotliwych, a karę dla występnych; jeżeliby więc dusza nasza tak źle działała na ziemi że Bóg osądziłby ją godną kary długo trwałej a może i wiecznej, powiedzcie sami czy nie lepiejby żeby nie była nieśmiertelną?

J Ó Z I O.

Moja mamó ja nie rozumiem jak to można duszę ukarać? — Powiadałaś nam że dusza i ciało to są dwie rzeczy, że kiedy czujemy głód, zimno, ból, to tylko ciało cierpi a nie dusza — jeżeli więc dusza tego wszystkiego nie czuje, jakże ją ukarać?

M A T K A.

Widzę mój Józiu żeś nie pomyślał nad tém co mówisz; kiedy co zawiniacie; czyliż was kęrzą głodem lub bólem? czy wam nie bolesno kiedy mię smutną widzicie, kiedy nie możecie być przy mnie?.. a czy nie cierpicie gdy kto z rodziny mocno chory?.... a przecież wtedy ciało wasze nie doznaje bólu.

A N T O S I A.

To wtedy dusza cierpi zapewne; ale mam ja bym wolała żeby mię co bolało, wolałabym nie jeść, nie pić, żeby tak nie cierpieć.

J Ó Z I O.

I ja także! jak to kiedy tatko chorował, mieliśmy wszystko co nam było potrzeba, nikt nas nie łajał, a tak nam było smutno, tak łzy szły do oczu, ani jeść, ani bawić się nie chciało....

M A T K A.

Drogie dzieci moje! wiecie więc co to jest cierpienie duszy, i rozumiecie zapewne, że choć jest nieśmiertelną, choć jest tylko duchem, Bóg ją ukarać może?....

J Ó Z I O.

Jakże to zrobić mamó żeby nasza dusza nie była karana; ja nie raz choć nie chcę nic złego zrobić, to tak się jakoś stanie że ni z tego ni z owego na karę zasłużę.

M A T K A.

Boś nazbyt żywy, roztrzepany; skoro zaś kto wie że jest człowiekiem, że go Bóg wywyższył nad wszystkie stworzenia, zawsze o tém pamiętać powinien, żeby się nie poniżyć, żeby się nie stać podobnym zwierzętom, które ani rozu-

mu ani duszy nieśmiertelnéj nie mają, które nie potrzebują starać się o nabycie cnoty, bo im za to nie wyznaczono tak wielkiéj jak nam nagrody.

ANTOSIA.

Ależ to bardzo trudno nigdy i nigdy nic złego nie zrobić.

M A T K A.

Nie trzeba téż Boga uważać jako surowego sędziego; bo choć on nie przebacza takich błędów, które umyślnie popełniamy, łagodnym jest jak ojciec dla swoich dzieci, i nie będzie ostro karał tych co mimowolnie zawinili i za swoją winę żałują.

ROZMOWA III.

POLOWANIE NA MOTYLE.

ANTOSIA.

Mój Józieczku proszę cię, potrzymaj to pasemko nici dopóki go nie zwinę, to już ostatnie.

J Ó Z I O.

Chyba że tak, bo już mię nudzić zaczynasz tém codzienném zwijaniem. Powiedz mi co ty robisz z tylu nici?

ANTOSIA (z uśmiechem).

Cós, dla kogós; jeżeli pójdziesz na pół godziny do swego pokoju to ci potem skończoną robotę pokażę.

Józio choć chłopczyk dość był ciekawym, poszedł więc spokojnie do siebie, zaczął przeglądać nową książkę z obrazkami i tak się nią zajął że ani nie spostrzegł jak się drzwi z cicha otworzyły i siostra za nim stanęła.

— Oto moja robota! rzekła Antosia kładąc przed bratem dużą siatkę z cienkich nici, nawleczoną różową wstążką teraz zgadnij dla kogo?...

JÓZIO (podskakując z radością).

Siatka na motyle! moja dobra kochana Antolko jakże ja ci podziękuję?... a jaka cienka, jaka ładna! co też to będzie za uciecha! jużem sobie tak dawno

siatki życzył.... jakaś ty dobra Antosiu!... zobaczysz, jak ją tylko na obręcz osadzę ile to ja motyli co dzień łowić będę; trzeba mi się pospieszyć, to dziś jeszcze jak z mamą wyjdziemy...

To mówiąc Józio wziął się żwawo do roboty, spoił obręczkę stosownie do obszerności siatki, którą mu Antosia zręcznie wstążką przymocowała, wystrugał sobie kijek mający służyć za rączkę przytwierdził go mocno, i kiedy niedługo potem matka zawołała dzieci na przechadzkę, wyszedł dumnie jak wojownik do boju niosąc po raz pierwszy w życiu chorągiew na ramieniu. — Na prośbę jego matka zwróciła się ku obszerniej tuż za wsią leżącej łące, a usiadłszy pod starą lipą co w środku stała, patrzyła z ukontentowaniem, to na Antosię zbierającą drobne kwiatki

do wianka, to na Józia uganiającego się z zapalem za motylami.

Po nie długiej chwili chłopczyna zmęczony przybiegł z tryumfem pod lipę:

—Mamo! Antosiu! zawołał: patrzcie jakie mam śliczne dwa motyle, czerwony z czarnemi oczkami, a drugi w pasy.... moja Antosiu daj mi prędko dwie szpilki.

M A T K A.

A to na co?

J Ó Z I O.

Przypnę ich do kapelusza i pójdę gonić inne.

M A T K A

A z tamtemi co zrobisz?

J Ó Z I O.

I tamte powadam na szpilki, i bę-

dę póty biegał po łące, póki całego kapelusza motylami nie pokryję.—

M A T K A.

Wieleby ci na to czasu było potrzeba; lecz gdyby i tak, na cóż się to przyda?

J Ó Z I O.

Na co? czy mama nie widziała jak to chłopczyki mają całe pudełka za szkłem a w nich pełno motyli?

M A T K A.

Widziałam.

J Ó Z I O.

Otóż i ja chcę mieć takie, mam sześć złotych jak tylko kto do miasta pojedzie, to sobie zaraz każę zrobić podobne; prassę to już ja sam sporządzę.

ANTOSIA.

Co za prassę?

JÓZIO.

Widzisz Antolko, jak się motyla wsadzi na szpilkę to on trzepie skrzydełkami i wykręca je w różne strony; żeby mu na to pozwolić to już by go nie było po co wsadzać w pudełko, boby sobie farby poscierał; ale ja wiem jak trzeba zrobić bom to widział u Kazia....

ANTOSIA.

A jakże? mój Józiu!

JÓZIO.

Oto, trzeba urznąć płaski kawałek korka, i szpilkę na której motyl siedzi tak włożyć żeby koniec aż na drugiej stronie widać było, potem podłożyć pod skrzydełka cienkie deszczułki, a

ułożywszy je prosto i ostrożnie przykryć wązkami kawałkami papieru, a końce jego przylepić gummą albo lakiem do deszczułki; wtedy kiedy już motyl ruszyć się nie może, przytrzymać koniec szpilki nad świecą, i za godzinę można go w pudełko wsadzić.—

M A T K A.

Spodzielwam się że mój Józio jeszcze tak pięknej sprawki nie popełnił?

JÓZIO (zmieszany).

Nie mam, ale czyż to co złego?

M A T K A.

Właśnie chciałam ci coś podobnego opowiedzieć, posłuchaj:

Pewien człowiek bardzo mocny i wysoki wychodził co dzień w pole, do lasu, lub na łąkę, i gdzie tylko spotkał

wesoło igrające dzieci chwytali je i kładł do torby, którą zawsze nosił na plecach. Gdy powrócił do domu, układał biedne dzieci na kamienną podłogę w której były nie wielkie otwory, przywiązywał ich ręce i nogi do kołków żeby się ruszyć nie mogły, potem przebijał każde dziecko różną, a koniec różną przesuwał przez otwór zrobiony w podłodze; pod spodem palił się ogromny ogień, żelazne różnice w ciałach dzieci rozgrzewały się do czerwoności, i po niedługiej chwili nieszczęśliwe ofiary traciły życie w okropnych mękach; ale na ich twarzy nie znać tego było; owszem wyglądały wesoło, z rozpostartymi rękami, z wzniesionymi w różnych postaciach nogami zdawały się tańczyć. Zabójca ich patrząc na ten pozór życia, ustawiał je

z radością w wielkiej szafie za szkłem, i lubił im się przyglądać po kilka razy na dzień.—

ANTOSIA.

Ah mamó! jakże to okropnie! choć wiem że to prawdą być nie może a jednak strach mię zdėjmuje.

MATKA.

Cóż ty na to Józiu? wszak ten człowiek nie tak złego nie robił?

JÓZIO.

Rozumiem ja mamó żeś nam opisała mękę, którą chciałem zadać motylowi; ale to wcale co innego męczyć człowieka choć małego, a męczyć małeńkie stworzenie, kiedy sam Bóg pozwolił nam robić z niemi co chcemy.

M A T K A.

Więc gdyby ten człowiek o którym wam mówiłam, postępował tak nie z dziećmi lecz z barankami nie był by wcale winnym?

J Ó Z I O.

To by zawsze było okrutnie, jednak baranek a motyl to zawsze wielka różnica.

M A T K A.

Chyba to że jeden duży, drugi mały, ależ moje dziecię, najmniejsze stworzenie może czuć radość i boleść. Wiedziałeś sam jak te motylki wesoło bujały w powietrzu; spójrz teraz;—choć tak lekką siatką nakryte już pospuszczały skrzydełka, lękają się ruszyć, coś dopiero jak je szpilkami poprzebijasz! Mówiłeś że motyl na szpilce

wije się i trzepie skrzydełkami, łatwo się domysłuć że z bólu nie z radości—po cóż więc i tak małej istocie nie potrzebnie sprawiać cierpienie?

JÓZIO (otwierając ściagniętą siatkę).

Lećcie więc sobie motyle! ja wam takiego bólu nie zadam, choć jednakże dobrze nie rozumiem, dla czego ludzie mogą bez winy zabijać większe daleko zwierzęta, i jeszcze jeść ich mięso.—Naprzykład Jakób strzela do sarn i zajęcy, Mosiek zarzyna woły i barany, nie raz nawet słyszałem jak mama sama każe kucharce zabić kurę lub kaczkę.

M A T K A.

Wnosisz zatem że wszystkie te osoby są złe i okrutne?...ale zważ że ludzie przekonali się iż pożywienie z mięsa zwié-

rzęcego posilnijszém jest nad jarzyny i owoce, mając zaś pozwolenie używania zwierząt do swoich potrzeb, nie czynią nic złego zabijając je sposobem najprostszym, i najmnień cierpienia sprawiającym. Prócz tego, gdybyśmy nie używali zwierząt na pokarm, namnożyłoby ich się tyle żeby i ludziom za ciasno było na ziemi.—

J Ó Z I O.

Moja Antolko, weź sobie tę siatkę, może z niej zrobisz co innego, bo mnie się ona już na nic nie przyda.—

M A T K A.

Owszem dziecię moje przyda ci się ona na wiele; zachowaj ją do jutra, nie myśl żebyś ci chciała miłą zabawkę odbierać memi uwagami. Zastanów się; gdyby ten człowiek o którym wam

powiadałam zamiast męczyć dzieci chciał patrzeć na ich zabawę, uważać ich twarzyczki, poznawać charaktery, czyliżby nie miał większej przyjemności?... I my tak zrobimy.— Jutro zaraz po obiedzie przyjdziemy znów na łąkę, schwytasz nam kilka motyli, przypatrzymy im się z bliska, opowiem wam co wiem o ich życiu i nazwiskach, a do twego pudełka mój Józiu obiecuję ci najpiękniejszy zbiór malowanych, lecz nie męczonych motyli.

Józio ucałował rękę matki, zarzucił znowu radośnie swoją siatkę na ramię, Antosia otoczyła ją długim wieńcem kwiatów, i choć się polowanie na nieczém skończyło, wszyscy wesoło do domu wrócili.—

ROZMOWA IV.

MOTYLE.

Nazajutrz dzieci z niecierpliwością czekały obiadu, i zaledwie się słońce cokolwiek ku zachodowi pochyliło, wyprowadziły matkę na łąkę; już w tym dniu i Antosia nie wiała kwiatów, niecierpliwa, ciekawa biegała w tę i owę stronę za bratem napędzając mu niby motyle do siatki, lecz jak to zwykle bywa, że im więcej zachodów tém mniej

— 53 —

korzyści, długi czas upłynął nim zmordowany Józio przyniósł matce nie wielkiego motyla. Ta wyjęła z woreczka pudełko z cienkiego szkła zestawione, przełożywszy w nie zręcznie motyla, dobyła jeszcze nie wielkie okrągłe szkiełko, i podając je dzieciom rzekła:

—Patrzcie przez to szkiełko, czy też nie nadzwyczajnego nie spostrzeżecie.

JÓZIO.

Ah co za ogromne motylisko! czyż on w tém pudełku tak urosł?

ANTOSIA.

To tylko przez szkło tak się wydaje, bo to jest szkło powiększające; wszak prawda mamó?

MATKA.

Jest to drobnowidz, czyli szkło po-

większające o bardzo wiele razy wszystko na co przez nie patrzymy.

JÓZIO.

Mamo droga jakież on ma oczy? to tak jak te rżnięte kamienie co je nosisz w pierścionkach.

MATKA.

Dobrze uważasz, ale wiedz że na oczach niektórych motyli naliczono kilkanaście tysięcy takich maleńkich scianek, a jak powiadają każda ścianka ma własność osobnego oka; zważ więc że te istotki muszą mieć wzrok bardzo bystry.

JÓZIO.

Cieężko je też schwytać.

ANTOSIA.

Józiu! Józiu! czyś ty się przypatrzył

jego skrzydłom? patrz te białe plamki po bokach z czego one zrobione?

JÓZIO.

Prawda że to dziwne! poczekaj no popatrzę bez szkiełka; teraz wszystko zupełnie gładkie, a jak spojrzeć przez drobnowidz, to się zdaje że te prążki czerwone, te plamki białawe ułożone są z drobnych ale tak drobnych piórek że je zaledwie widać; — nawet samo tło czarne z takich że piórek się składa — Czy to tak jest w saméj rzeczy, czy nam się tylko przez to szkło w oczach mąci?

MATKA.

Gołém okiem widzisz zapewne na skrzydłach motyla leciuchny pyłek?.... pyłek ten są to w saméj rzeczy drobnutkie piórka, któremi Bóg ozdobił to ma-

łe stworzenia. — Teraz odwróćcie pudełko na drugą stronę.

ANTOSIA.

Co widzę! numera pod skrzydłami!

MATKA.

Te i bez szkła zobaczycie, nie wszystkie jednak motyle posiadają tę cechę, jeden tylko ten gatunek dość rzadki u nas odznacza się tém od innych; pod skrzydłami jego jest wyraźnie wypisana summa z trzech liczb złożona z których środkowa zawsze jest ósemka.

ANTOSIA.

Tu stoi 780. — Ale czy i motyle mają swoje nazwiska?

MATKA.

Nie inaczej; naliczono ich już przeszło trzy tysiące. Ten którego tu wi-

dziecie nazywa się *Atalanta* inni zowią go jeszcze *Marsem* inni *Admiralem*.

ANTOSIA.

Czy to prawda mamó, że motyle wyłęgają się z tych brzydkich liszek co drzewa objadają. —

MATKA.

Tak jest moje dziecię; motyle przemieniają się po kilka razy nim się nam w takięj jak teraz ukażą postaci. — Niektóre przędą na około siebie lekkie pokrycie jakby z pajęczyny, i dopiero z niej wychodzą jako motyle; niektóre potrzebują rok i dwa lata nim zupełnie dójrzeją.

JÓZIO.

Czy mama zna wszystkie gatunki motyli?

M A T K A.

Byli ludzie którzy całe swoje życie poświęcili na zbadanie własności i zliczenie odmian motyli a jeszcze ich wszystkich nie poznali. — Ja ich znam nie wiele, jednak muszę wam powiedzieć że się dzielą na dwa wielkie oddziały, to jest na Dzienniki i Ćmy czyli Zmierzchniki. Pierwsze latają w dzień, zasypiają w nocy, i dotąd jeszcze nie odkryto z nich żadnego pożytku. Ćmy przeciwnie, latają tylko po ciemku i pomiędzy niemi znajdują się najszkodliwsze i najpożyteczniejsze gatunki.

A N T O S I A.

Nie pojmuję czém by takie ładne stworzenia mogły komu zaszkodzić.

M A T K A.

W postaci motyli żywią się one tylko

miodem kwiatowym, lecz dopóki są gąsienicami wielkie robią szkody w polach i ogrodach, widzieliście nie raz jak kwiat a nawet liście na drzewach objadają, jak psują kapustę i inne warzywa; najniebezpieczniejsze są te które się żywią zbożem, bo były przykłady że całe prowincye oglądały czasami.

J Ó Z I O.

Ah cóż to za żarłoki!

A N T O S I A.

Znać że śpią przez dzień cały; ale jaki téż z nich pożytek?

M A T K A.

Wspomnę wam tylko o jednym gatunku. *Jedwabnik* czyli *Jedwabnica* z cieplejszych krajów przeszedł do nas; gąsienica jego żywi się liśćmi morwo-

wego drzewa; kiedy zupełnie dorośnie, zaczyna puszczać lepki sok z pyszczka i wyrabiać go nogami; sok ten w chwilę tężeje jak miękka i giętka nitka;— gąsienica owija się nią z jednego końca a drugi przędzie co raz dalej dopóki nitka nie dojdzie 900 lub tysiąc stóp długości, wtedy kończy się praca jedwabnicy, postać jęj przybiera kształt małego kłębka a ona sama obumiera, aby po jakimś czasie przemienić się w motyla; lecz w miejscach gdzie pielęgnują te pracowite stworzenia, obawiając się aby po przebudzeniu nie przegryzły delikatnej przędzy, kładą je w piec gorący lub w wrzącą wodę.

ANTOSIA.

Biędne robaczki!

MATKA.

Nie ma przyczyny żałować ich tak

bardzo; owszem, każdy człowiek powinienby jedwabnicę obrać za wzór sobie; drobne to zwierzątko działa; pracuje przez całe życie o ile tylko może, a choć w końcu śmiercią przypłaca swoją czynność, zostawia po sobie znaczny i trwały pożytek.

JÓZIO.

Jaki mamó? czy tę długą nitkę?

MATKA.

Tak jest; z nitek tych sprzedanych i skreconych ludzką ręką mamy jedwab.

ANTOSIA.

Wiele też jedna gąsienica naprędzie jedwabiu?

MATKA.

Mówiłam wam że jedwabnica po u-

kończeniu swego dzieła ma kształt małego kłębka, z dwóch tysięcy takich kłębków otrzymujemy funt jedwabiu.

ANTOSIA.

Jeden funt tylko! czyż to warto pracy, żeby przez całe życie tak małego zrobić.

M A T K A.

Jednakże Antosiu zważ ile to ludzi co rok wypotrzebują jedwabiu, ile wyrobują materji. — Ziarnko do ziarka zbierze się miarka. — Znasz to przysłowie tu je najlepiej zastosować można, bo robota małego robaczka tak nie znaczna na pozór, składana obok jej podobnych, tworzy z czasem przedmiot ogromnej wartości, zapewnia byt kilku tysięcy ludzi, zaopatruje ich w potrzeby życia, w dostatki, a nawet w zbytki.

ANTOSIA.

Nie rozumiem tego mamó.

J Ó Z I O.

Ani ja!

M A T K A.

Wytłumaczę wam się zaraz; — w miejscach gdzie chowają jedwabniki, nie mało osób potrzeba do żywienia ich w czasie zimy, do zdéjmowania w porę gotowych kłębków z drzew lub grządek, do parzenia ich i układania w paki na sprzedaż. — Ludzie ci nie pracują darmo, każdy otrzymuje wynagrodzenie w miarę swojej usługi, a zarobkiem swoim żywi się wraz z rodziną.

ANTOSIA.

To prawda, ale zdaje mi się że na to dość by było kilkunastu osób a mama o tysiącach mówiła.

M A T K A.

Poczekaj tylko chwilkę; jedwab w kłębkach wystawiany na sprzedaż nazywa się surowym; — trzeba go starannie zwijać aby nie uszkodziwszy nitki wydobyć szczątki gąsienicy, trzeba tę nitkę prząść i kręcić w kilkoro, motać i wiązać w motki. — W takim stanie dopiero farbują jedwab na różne kolory, albo go też bielą. — Jakże wam się zdaje czy i do tego starczy kilkanaście osób?...

A N T O S I A.

Zapewne nie! ale ja myślałam że gąsienice przędą już sam jedwab kolorowy. —

M A T K A.

Nie, moje dziecię; jedwab surowy jest szarego koloru jak len nie bielony.

J Ó Z I O.

A z czegoż farby robią?

M A T K A.

Zróżnionych rzeczy, z kory drzew, z kwiatów, z różnych gatunków ziemi, z robaków; a nad zebraniem, przyrządzeniem, i przewiezieniem tego z jednego do drugiego kraju także nie mało rąk pracuje.

A N T O S I A.

Już teraz pojmuję że robota około jedwabiu może zająć nie mało osób, ale moja mamó, widziałam ja nie raz prządki, u nich ani zbytku, ani dostatku nawet nie widać.

M A T K A.

Może ci się zdaje żem przesadziła w opisie, ale wnet sama osądzisz. —

Ufarbowany jedwab oddają tkaczom, widziałas jak się ta robota odbywa; nie tak mozolna jak pierwsza, wymaga jednak dłuższej nauki i lepiej jest płaconą. — Wyrabiając tylko nasze lniane tkaniny, tkacz może się z rodziną wygodnie utrzymać; cóż dopiero tam gdzie się tkają atłasy, adamaszki, do których wykończenia potrzeba nauki, zręczności, i doświadczenia. — Gotowe materije rozsyłane bywają po różnych częściach ziemi; przewożący je ludzie zarabiają już na życie, a jakież zysk muszą mieć kupcy zajmujący się sprzedażą tych wyrobów? byłaś w kilku kupieckich domach i u nas i w prussach, nie widziałas w nich dostatku i zbytków?

ANTOSIA.

To prawda mamó! jak to jednak co

dzień coś nowego usłyszeć można, ani bym pomyślała przez ile to rąk przeszła moja niebieska chusteczka nim się do mnie dostała.

JÓZIO.

Albo że takie małe robaczki tyle ludzi żywią..... żeby tak nad wszystkim myśleć....

MAMA.

To byśmy pewnie w najdrobniejszej rzeczy poznali dobroć i mądrość Boga.

Teraz dzieci moje pójdźmy do domu, jużesmy się dość na dziś nagadali.

JÓZIO.

Droga Mamó! ja bym cię chciał przez całe życie słuchać, bo ty nam zawsze coś takiego powiesz, czegośmy się nie spodziewali. — Nasza Anna umie wiele

powieści, i lubię je słuchać, ale nie raz mi się już przy tém spać zachciało, a przy mamie nie wiem czemu nigdy się nie znudzę; a ty Antosiu?

ANTOSIA.

I ja podobnież.... żeby to mama chciała jeszcze nam co powiedzieć?...

M A T K A.

Nie, moja Antolko, mówiłam wam już że nie lubię dzieciom wiele od razu opowiadać; ale co się odwlecze to nie uciecze, jeszcze mamy dość czasu na poznanie wszystkiego czego nie znacie.

ROZMOWA V.

POTRZEBA ROZWAGI.

J Ó Z I O.

Powiedz mi mammo na co ci się przyda ta wielka książka, w której układasz suche trawy i kwiaty?

ANTOSIA.

Ja dawno już chciałam mamy o to zapytać, bo mi się zdaje że lepiej by

malować ładne kwiatki niż je suszyć w papierze, gdzie żółkną i brzydną.

M A T K A.

Może by to ładniej było, ale nie każde ziółko, nie każdą trawkę można dobrze odmalować, nie podobna nawet wyrazić na papierze każde zgięcie, każdy pyłek drobnej rośliny, przytém narysować możnaby tylko jedną stronę, a zasuszywszy ziółko lub kwiatek łatwo go na wszystkie strony obejrzyć.

J Ó Z I O.

Ale na cóż się to przyda?

M A T K A.

Na to, żeby na drugi raz poznać dokładnie roślinę, spotkawszy ją na łące lub w ogrodzie.

A N T O S I A.

Dobrze to jest mamo, jednakże nie rozumiem, na co nam się zda tak głęboka znajomość roślin?

M A T K A.

Dziwię się mocno że Antolka do tego czasu nie dostrzegła na co się to przydać może.

A N T O S I A.

Przepraszam mamę, wiem że każdy powinien znać różę, liliję, chrzan, pietruszkę, bo by to śmiesznie było gdyby się kto pomylił. Ale trawki!

M A T K A.

Zdaje ci się zapewne że trawka nie zasługuje na tyle uwagi ile większe rośliny?

ANTOSIA.

Nie inaczej; bo gdyby kto tych nie znał, to zamiast kartofli mógłby narwać cebuli, zamiast pietruszki chrzanu, i dopiero by śliczny obiad zgotował!...

M A T K A.

Wiesz że rośliny nie tylko do jedzenia nam służą; są kwiaty, zioła uzdrawiające nas w słabościach, te więc lepiej jeszcze znać należy; bo ktoby taką popełnił pomyłkę jak dopiero sama powiedziałaś, całą jego karą było by to, żeby nie zjadł tak smacznie jak sobie zamierzył; lecz gdyby cierpiącemu gorączkę podać ziele rozgrzewającego, przeziębionemu chłodzący napój sporządzić, można by zaszkodzić, a może odebrać zdrowie na całe życie.

J Ó Z I O.

Może to być, ależ to ci tylko powinni się starać o poznanie ziół, którzy chorych leczć myślą.

M A T K A.

Czyś ty! Józiu tak pewny, że nigdy nie będziesz w potrzebie leczenia kogo lub siebie?

J Ó Z I O.

I bardzo pewny mamó, ja nie myślę być doktorem.

M A T K A.

Zle by było moje dziecko gdyby tylko doktorzy mogli nam ulgę przynieść w cierpieniach; bywają tak gwałtowne słabości że natychmiast radzić im trzeba, a na lekarza czasem kilka godzin, czasem cały dzień czekać wypadnie;

cóżby wtedy poczał biędny chory gdyby wszyscy tak jak ty myśleli, gdyby nikt nie znał trawki mogącej go uzdrowić?... Pamiętacie dzieci moje jak przed miesiącem wyszedłszy za wieś spotkaliśmy Franusię Grzelównę?

ANTOSIA.

O pamiętam! biędna dziewczyna zęła trawę dla krowy, i ostrą kosą zacięła sobie bosą nogę; zdaje mi się że ją jeszcze widzę, tak była blada, a koło niej kawał ziemi krwią był zbroczony.

M A T K A.

I cóż ona robiła?

J Ó Z I O.

Żuła jakieś liście i przykładła do rany, żeby krew zatamować.

M A T K A.

Musiała więc wiedzieć jakich liści nazbierać, bo przecież nie każde mają własność zatrzymania krwi.

ANTOSIA.

Mówiła że to był krwawnik i liście babkowe.

M A T K A.

A gdyby ich nie znała cóż by się z nią stało?

J Ó Z I O.

Nie, bośmy właśnie nadeszli a ty mammo może lepiej jeszcze znasz zioła jak Franusia.

M A T K A.

Ale gdybym téż i ja co nie myśleć być doktorem nie wiedziała jak pora-

dzieć? biedne dziewczę straciwszy zbyt wiele krwi, mogło by stracić i życie.

JÓZIO.

Jak by to przykro było! przyznaję że lepiej wiedzieć wiele jak mało.

M A T K A.

A w przeszłym roku chodząc po lesie pamiętacie nasze spotkanie ze starą Reszkową?

J Ó Z I O.

Pamiętam i to;— usłyszeliśmy głośny płacz i wyrzekanie w zaroślach, a przybiegłszy prędko na miejsce z kąd pochodziło, zobaczyliśmy Franka i Magdusię płaczących gorzko, Reszkową zaś stojącą między nimi i łajającą ich okropnie.

M A T K A.

Za cóż ich tak łajała?

J Ó Z I O.

Zapomniałem doprawdy, ale od tego czasu nie lubię Reszkowej; to i tak biedne dzieci, nie mają ani ojca ani matki, po cóż ich jeszcze zasmucać?

M A T K A.

Czy i ty Antosiu nie pamiętasz o co się tak gnięwała staruszka?

A N T O S I A.

Podobno o to że Franek nazrywał leśnych wisien na polówkę, a Magdusia pełny koszyk czerwonych grzybów zbierała.

J Ó Z I O.

Widzi mama jaka Reszkowa nie dobra! cóż jój to szkodziło że biedne dzieci

znalazły w lesie obiad dla siebie? a przypominam sobie że wyrwała im ko-
szyk i wiśnie i grzyby rozsypała z gniewem po lesie.

M A T K A.

A widzi Józio jak to źle mało wie-
dzieć i nie zastanawiać się nad niczem,
nie lubisz pocziwój staruszki, powsta-
jesz na nią za to że dwie sieroty uchro-
niła od śmierci.

ANTÓSIA I JÓZIO.

Jakto mamó?

M A T K A.

To, co wy i tamte dzieci wzięły za
wiśnie, był owoc *pokrzyku* ładny na
pozór ale zawierający najziadliwszą tru-
ciznę, grzyby zaś były to fałszywe smar-
dze i muchary których używają tylko

na wygubienie szkodliwych owadów,
które jeżeli nie otrują od razu sprowa-
dzają przynajmniej długie i przykre
odurzenie.

J Ó Z I O.

Dziwna rzecz że te dzieci, mieszkając
tak blisko lasu i prawie całe życie zbie-
rając grzyby nie znały ich jeszcze.

M A T K A.

Czy byś ty Józiu mógł rozróżnić po-
żyteczne od szkodliwych choć je nie
raz zbierałeś?...

J Ó Z I O.

Zdaje mi się że nie; ależ mnie to
nie potrzebne, gdybym złych grzybów
nazbierał i przyniosł do domu to by ich
kucharka nie usmażyła.

M A T K A.

Dla czegoż więc prosta kucharka ma więcej wiedzieć od ciebie?

J Ó Z I O.

Bo to jój powinność znać wszystko co dobre do jedzenia.

M A T K A.

A gdybyś nie miał kucharki?

J Ó Z I O.

Och mamó! przecież sam bym jeść nie gotował.

M A T K A.

Czemu nie? wszak Adamek choć także chłopczyk i nie wiele starszy od ciebie, przyrządza nie raz jedzenie dla siebie i dla matki.

J Ó Z I O.

To co innego, oni tacy biedni!

M A T K A.

Skądże Józio wie że i my nigdy biednymi nie będziemy? a potem, zważ że nawet bez tego, gdybyś kiedy sam był w podróży, gdybyś się tylko na przechadze w lesie zabłąkał, i chciał się czém posilić, jakby to dobrze było znać co posilne i smaczne, co przykre lub szkodliwe.

A N T O S I A.

To prawda mamó, ale na poznanie wszystkiego bardzoby dużo czasu było potrzeba.

M A T K A.

Jeszczeście też bardzo młodzi, jeszcze się wiele nauczyć możecie. Bóg tyle pięknych i miłych rzeczy dał do użytku człowieka, że gdybyśmy się nie starali

poznać ich, musielibyśmy być bardzo niewdzięcznymi. Pamiętacie jeszcze ową przechadzkę do *Grabowa* gdzieśmy się tak dobrze ubawili?

JÓZIO I ANTOSIA.

O pamiętamy!...

M A T K A.

Nie zapomnieliście też co nam się w drodze przytrafiło?...

ANTOSIA.

Ja nie zapomniałam; bo nigdy jeszcze nie byłam tak zmęczoną i spragnioną jak w ten czas.

J Ó Z I O.

Szliśmy też tak pomału że zamiast godziny, potrzebowaliśmy prawie pół dnia na drogę.

ANTOSIA.

Bo babunia chciała iść z nami a ona prędko chodzić nie może.

J Ó Z I O.

Biedna babunia! jak się też utrudziła! a jak jej się pić chciało!

ANTOSIA.

Jak nam wszystkim; jednak cieszyliśmy się że jak dojdziem do stawku co był na połowie drogi, ochłodzimy się świeżą wodą....

J Ó Z I O.

Tylko nikt nie przewidział że z wielkiego gorąca stawek prawie wysychł, i zamiast czystej wody były w nim jakieś zielone zgręzy.

ANTOSIA.

Jeszcze mi żal babuni, jak wspomnę że z pragnienia i gorąca na pół omdlała usiadła pod drzewem; a przecież nie skarżyła się jak my, nie wyrzekała....

J Ó Z I O.

Dobrze że w tenczas Grzela był z nami, bo kto wie czy bez niego nie pomdlelibyśmy wszyscy.

M A T K A.

Cóż on zrobił? nie pamiętam....

ANTOSIA.

Nie pamięta mama jak zerwał duży i gruby liść nad brzegiem wody? potem nożykiem naciął korę drzewa pod którym siedzieliśmy wszyscy, wsunął liść zwinięty pod korę i nie długo, jakby

złójka zaczął się sączyć jakiś sok czysty, słodki, smaczny jak wino.

J Ó Z I O.

Jakeśmy też pili!

M A T K A.

Prawda! ale jakież to było drzewo?

ANTOSIA.

Brzoza; Grzela powiedział że na wiosnę każda brzoza taki sok wydaje, i że w niektórych miejscach chowają go w piwnicach na zimę.

J Ó Z I O.

Jednak to i od prostych ludzi można się czegoś nauczyć; dawniej, myślałem że w polu tylko wody napić się można, ale teraz byłem miał nożyk przy sobie,

to się i w lesie pragnienia nie boję; nie wielka rzecz narznać korę jakiego drzewa.

M A T K A.

Naprzykład starą sosnę; w gorący dzień pewnoby z niej popłynęła żywica.

J Ó Z I O.

Żartuje mama! alboż to żywica z drzewa płynie?... alboż nie każdego drzewa sok tak smaczny jak brzozowy? —

M A T K A.

Kamfora tak mocno pachnąca, manna którą czasem za lekarstwo używacie jest także stwardniałym sokiem drzewa; jak ci się zdaje Józiu czy ugasił byś pragnienie takim napojem?....

J Ó Z I O.

Ach mammo to takie nie smaczne!

M A T K A.

Widzisz więc że chcąc korzystać z darów Boga trzeba się starać poznać je wprzód; — nie dość jest tu i ówdzie słówko pochwycić, nie należy spuszczać się na drugich. — Bóg każdemu człowiekowi dał osobny wzrok, rozum i serce, żeby każdy sam patrzył, rozważał, i czuł ile winien Stwórcy świata; — żeby mu potem odwdzięczał się za to. —

A N T O S I A.

Alboż Bóg potrzebuje naszój wdzięczności?

M A T K A.

Zapewne że nie! lecz powiedz mi Antosiu kiedy ojciec wasz lub ja zrobimy co dla was, czy potrzebujemy, czy żądamy podziękowania?

ANTOSIA.

Ja wiem że nie!

M A T K A.

Dla czegoż więc dziękujesz?

ANTOSIA.

Bo ja sama potrzebuję okazać że mię to cieszy, bo gdybym nie dziękowała zdawałoby mi się że nie godna waszego daru. —

M A T K A.

Gdyby też teraz ojciec wróciwszy z podróży, przywiózł dla każdego z waszkatułkę pełną pięknych i użytecznych rzeczy, a wy gdybyście tak byli obojętni żeby wam się nawet nie chciało otworzyć z klucza i zobaczyć co się w niej znajduje?...

J Ó Z I O.

Och! toby było niewdziecznie! toby tatkę pewnie zmartwiło.

M A T K A.

Odpowiedz że mi jeszcze Józiu jak nazwać człowieka któryby mógł obojętnie patrzeć na wszystko co się na ziemi znajduje, który mając rozum, nie chciałby go użyć na poznanie darów Boga; i żałując czasu wołałby być podobnym zwierzęciu, nie nie wiedzieć, nie nie umieć, i ani sobie ani drugim na nic się nie przydać? —

JÓZIO. (rzucając się matce na szyję)

Mamo ja takim nie będę. — Ty mnie nauczysz jakim sposobem można poznać wszystko co jest na świecie, jakim sposobem choć w części wywdziękzyć się Bogu.

M A T K A.

Wszystkiego ani ja, ani nikt z ludzi poznać nie może; ale nabywać tyle wiadomości ile jest w naszej mocy, w każdej rzeczy szukać śladu dobroci Boga, wszystkiego co poznamy używać na dobro naszych bliźnich, oto jest sposób podziękowania Stwórcy.—

A N T O S I A.

Daruj droga [mamo! może znów co niedorzecznego powiem, ale zdaje mi się że na świecie nie wszystko jest potrzebne, że nawet często widzimy takie rzeczy gdzie wcale nie znać żeby Bóg był dobry.

M A T K A.

Przykro mi lubo dziecię słyszeć z ust twoich podobne słowa, i żałuję bardzo

że się już dziś nie dowiem co ci taką myśl podało; ale patrz, państwo D... zajeżdżają przed ganek, muszę iść na ich przyjęcie; wy zaś, Józiu i Antosiu możecie tym czasem pobiegać po ogrodzie.

ROZMOWA VI.

BÓG WSZYSTKIEM DOBRZE RZĄDZI.

M A T K A.

Powiedz mi dziś Antosiu, dla czego mówiłaś wczoraj, że nie zawsze widać dobroć Boga?

A N T O S I A.

Dla wielu rzeczy! ale 'boję' się! droga mamu żeby cię nie rozgniewać, bo mogę ja źle uważała.—

— 93 —

M A T K A.

Owszem, opowiedz mi wszystko co myślisz żebym cię mogła dobrze zrozumieć, i objaśnić jeżeli błędzisz.—

A N T O S I A.

Dobrze, więc powiem; — nie zapomniała mama pewno, jak to kiedy na wiosnę śniegi stopniały, strumień co za wsią płynie wezbrał ogromnie?

M A T K A.

Nie mało wtedy mieliśmy szkody, ale cóż to ma do naszej rozmowy?

A N T O S I A.

Zaraz mamu! — otóż kiedy woda zaléwała nasze łąki, pola, kiedy i ty i tatko rachowaliście nową stratę co godzinę, smutno mi było, ale pocieszałam się tém że choć nam trochę dostat-

ków ubędzie, jeszcze wiele zostanie.—
Do tego dnia, ja tylko kochałam Boga;
ale kiedy w nocy strumień nagle się
obrócił, i zamiast na pole, spadł na
chatę Filipa, w tedy mamó zaczęłam się
lękać.—

M A T K A.

Dla czego?...

A N T O S I A.

Bo zawsze słyszałam że Bóg sprawie-
dliwy dobre nagradza, złe karze; a tu
zupełnie inaczej się stało.— Filip co
nigdy nie robić nie chciał, co nie my-
ślał ani o żonie, ani o dzieciach chyba
wtedy gdy ich chciał bić i łajać, wró-
cił właśnie nie trzczy z drugiej wsi,
spął na górze i ocalał;— ale biedna
jego żona, taka dobra, pobożna, pra-

cowita, obudziła się w izbie w śród wo-
dy;— ledwie zdążyła wynieść pod strze-
chę dwoje dzieci; wracała po trzecie
najmłodsze, usunęła się z drabiną, i ją
i biednego Felka woda bez ratunku za-
lała.

M A T K A.

A tobie Antolko zdaje się że by wca-
le przeciwnie stać się powinno?

A N T O S I A.

Zapewne! a potem jeszcze, jak sobie
przypomnę tego biednego Andrzeja.....
doprawdy mamó że ja się bardzo Boga
boję!.....— Dawniej kiedy sobie pomy-
ślałam wieczorem że przez cały dzień by-
łam grzeczna, że nie rozgniewała niko-
go, że pobożnie pacierz zmówiłam, tom
zasypiała tak spokojnie, bo byłam pewna
że Bóg strzeże dobrych i pobożnych lu-

dzi,—ale teraz widzę że to nie dosyć;— Filipowa była najlepszą, najpracowitszą z całej wsi a przecież utonęła. —Andrzej taki pobożny, tak się zawsze długo modli w kościele, nawet w ten czas kiedy taka okropna burza powstała, wyszedł na dwór, i z poświęconym dzwonkiem chodził koło domu żeby chmury rozpędzić, a tu właśnie kiedy on w najlepsze śpiewał nabożne pieśni, piorun uderzył w dach, i cały dom mu spalił.—

M A T K A.

Widzę lubie dziecko, że się zastanawiasz i myślisz wiele, ale słuchaj mnie Antosiu; ile razy nowa myśl jaka przyjdzie ci do głowy, natychmiast mów ze mną o tém. Twój rozum jeszcze za słaby żeby mógł sądzić o ważnych rzeczach,

najrozumniejsi nawet ludzie nie mogą często odgadnąć dla czego Bóg tak a nie inaczej rozrządził, cóż dopiero dzieci! Powtarzałam wam już wiele razy że wszystko co tylko Bóg nam zesła należy z wdzięcznością przyjmować, że czasem to co nam się nieszczęściem zdaje jest najwęższem dol rolniejstwem. ...

J Ó Z I O.

Ach mam to trudno zrozumieć! alboż to dobrodziejstwo dla biednego Andrzeja że mu się cały dom spalił i że teraz u drugich mieszkać musi?

M A T K A.

Kto wie?... najprzód zastanówmy się czy Andrzej sam nie był swojej szkody przyczyną.

ANTOSIA.

Jakże mamó, kiedy on chodził około domu dzwoniąc w Loretański dzwonek?

MATKA.

Może słyszałaś kiedy, jak z początkiem lata ksiądz proboszcz ostrzegał włościan w kościele, aby w czasie grzmotów drzwi i okna były zamknięte, żeby nie stawać pod drzewem, żeby blisko domu nie składać wełny, miedzi i żelaztwa, bo te wszystkie rzeczy przyciągają pioruny.

ANTOSIA.

Słyszałam mamó.

MATKA.

Otóż w chacie Andrzeja komin był otwarty, on sam wychodząc za próg drzwi nie zamknął i ztąd powstał mo-

cny przeciąg powietrza; tuż pod oknem leżała kupa gospodarskich narzędzi, każde z nich żelazne albo żelazem okute, to wszystko mogło już przyciągać piorun powoli, a skoro Andrzej wyszedł z miedzianym dzwonkiem i zaczął jego odgłosem poruszać powietrze, sprowadził go sam na komin otwarty w dachu.

ANTOSIA.

To być może mamó; ale po co pioruny padają, kiedy z nich tyle szkody i zmartwienia?

MATKA.

Pioruny wstrząsają i oczyszczają powietrze którem oddychamy; gdyby go nie nie poruszyło zepsułoby się jak stojąca woda, powstałyby choroby na bydło i ludzi.

J Ó Z I O.

Kiedy tak, to i pioruny potrzebne choć czasem tam padają gdziebyśmy nie chcieli.

M A T K A.

Tak moje dziecko, wszak ogień i woda także są potrzebne choć się jednym sparzyć, w drugiej utopić można.

A N T O S I A.

Pierwszy raz słyszę tyle o piorunach; ale mamu, dla Andrzeja jednak nie z nich dobrego nie przyszło.

M A T K A.

Bardzo wiele! wiecie jak on zawsze był pobożnym, i kiedy stracił mienie nie wyrzekał, nie rozpaczał, powiedział tylko »Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje wola Jego.« ale nie wiecie mo-

że, że ten Andrzej taki cichy, bogobożny, nie postępował jak prawdziwy chrześcijanin; kiedy ukończył całodzienną robotę i odmówił modlitwy, zdawało mu się że już wszystko zrobił co był powinien, nie pomyślał nawet że człowiek nie tylko o Bogu i o sobie, ale o swoich bliźnich także ma pamiętać. Otóż dopiero po smutnym swoim wypadku, kiedy został bez domu, bez odzienia prawie, kiedy sąsiedzi zbiegli się do niego, i ochoczo wsparcie znosić zaczęli, kiedy jeden ofiarował mu mieszkanie, drugi ubiór, trzeci robotę, w tedy dopiero Andrzej uczuł jak to musi być słodko żyć z ludźmi, i zasłużyć sobie na ich przyjaźń. — Odtąd przestał zamykać się samotnie, rozmawia z sąsiadami, pomaga im w pracy, radzi w gospodarstwie, i co dzień powtarza że

daleko jest szczęśliwszy teraz, kiedy wszyscy śmiało i wesoło zbliżają się do niego, jak dawniej, kiedy dla wielkiej pobożności i oddalenia od drugich, nikt prawie przystąpić nie śmiał do niego.—

ANTOSIA.

To prawda że Andrzej teraz weselszy niż dawniej; może mama i słusznie mówi, może jemu ten piorun nie tak wielką szkodę wyrządził jak mi się zdawało.

MATKA.

Pomów z nim sama przy spotkaniu, a przekonasz się że on tego wypadku nie uważa za nieszczęście; ma jeszcze dość sił i zdrowia, przy pomocy Boga i dobrych ludzi może na nowo przyjść do dobrego bytu, a przez ten czas ma

znowu mocne zajęcie, musi żyć z sąsiadami, nie będzie mógł zdziczeć, nie będzie śmiał wynosić się nad drugich, bo poznał że nie tylko ten Boga chwali kto po dniach całych na modlitwie przepędza, ale i ten co wielbiąc swego stwórcę, dopomaga bliźnim o ile może.

JÓZIO.

Choć ja to co mama powiedziała, nie zupełnie zrozumiałem, ale może to być prawdą bo Andrzej jeszcze żyje. Ależ mam ta biedna Filipowa!

ANTOSIA.

O! téj to nie wiem co dobrego powódź przyniosła.

JÓZIO.

Dla niej się już wszystko skończyło...

M A T K A.

W tém życiu, ale nie w przyszłym, czy moje dzieci zapomniały że się dla nas nie wszystko kończy w tedy kiedy ciało umiera.

A N T O S I A.

Ja wiem że w tedy zostaje jeszcze dusza nieśmiertelna; jednak mnie się zdaje że zawsze lepiej, żyć długo na ziemi.

M A T K A.

Nie dla wszystkich.—Wiecie że śmierć jest dla naszego ciała tylko długim snem; teraz powiedzcie: kiedy czasem są u nas goście, kiedy się do was dużo dzieci zjedzie, kiedy się bawicie, jecie ciasta, owoce, a w tém wybije dziesiąta godzina i trzeba iść do łóżka, czy to przyjemnie?

J Ó Z I O.

Oj nie! nie!

A N T O S I A.

A więc ja prawdę mówiłam że to musi być smutno zawczasie umierać.

M A T K A.

Zepewne, kiedy komu życie schodzi przyjemnie i wesoło. — Widzę że Antosia rozumie porównania; uważajże jeszcze.— Chorowaliście już oboje, wiecie jak to przykro kiedy co boli, jak nas w ten czas nie nie ciśzy, jakbyśmy chcieli zapomnieć o cierpieniu, jakimby to było szczęściem gdyby nam powiedziano »zaśnij« a sen jak na zawołanie zamknął nam powieki. —

A N T O S I A.

Ach! to prawda.—

M A T K A.

Lubisz się zastanawiać Antosiu; pomyśl więc czy Filipowój życie było przyjemném?... Kiedy ona pracując przez cały tydzień zarobiła tyle że jakiś czas mogła siebie i t oje dzieci wyżywić, a mąż zabrał cały jój zarobek, przepił, zmarnował, ją i dzieci wyłajał i wybił; kiedy biedne dziecińy tuliąc się do matki płakały z bólu i głodu, a ona drząc sama musiała ich cieszyć i uspokajać tajemnie żeby nieczułego ojca mocniej jeszcze nie rozdrażnić; kiedy wyszła czasem do wsi, a ze wszystkich stron obijały się jój o uszy przekleństwa i skargi na burzliwego męża; czy mogła ona lubić takie życie? czy dla niój śmierć bez długich cierpień była nieszczęściem?...

ANTOSIA.

Ach dobrodziejstwem! szczęściem droga mammo!

J Ó Z I O.

Ale co się to tam z biednymi dziećmi dzieć musi!

M A T K A.

Widziałżeś je po śmierci matki?

ANTOSIA.

Ja je widziałam, wcale nie źle były ubrane i czerstwo wyglądały.

M A T K A.

Wiecież pod czyim one teraz zostają dozorem?

J Ó Z I O.

Podbno tylko Filip zajmuje się niemi.

ANTOSIA.

To dziwna rzecz!

M A T K A.

Zapewne a co dziwniejsza, to że od śmierci żony ani jedna skarga nie zaśła na niego do dworu, ani razu w karczmie go nie widziano.

ANTOSIA.

Już ja widzę, mama nas dziś przekona że straszny przypadek Filipowej szczęściem był dla niej i dla całej jej rodziny. Tylkoż jakim sposobem Filip tak się prędko odmienił.

M A T K A.

Złe nałogi są chorobami duszy; jeżeli za nadto opanują człowieka nie ma już ratunku, ale jak w słabości mocne

choć przykre lekarstwo może powrócić do zdrowia, tak mocne choć bolesne strapienie może człowieka od złych nawyknień wstrzymać. Znać że Filip nie był jeszcze złym zupełnie; pewno nieznacznie polubił próżniactwo i pijaństwo, może nie raz wychodząc rano z domu postanawiał sobie pracować przez dzień cały, ale przeszedłszy koło karczmy nie mógł się oprzeć chęci skosztowania napoju, lub posłuchania gawędki gospodarza; tak pewnie szło przez czas długi, wróciwszy nie trzeźwym do domu nieszczęśliwy nie uważał za smutek żony, nie miał sił do rozwagi, rzucał się na spoczynek, i rad był jeśli mu go nie przerywano.

J Ó Z I O.

To by jeszcze nic nie było; ale Filip

bił żonę i dzieci, zaczepiał sąsiadów i różne im szkody wyrządzał.

M A T K A.

To wam dowodzi że człowiek który nie tak żyje jak powinien, ani sobie ani drugim miłym być nie może; kiedy kto nie kontent sam z siebie wszystko mu się złem i przykrém zdaje; tak się zapewne działo z Filipem;— jeżeli spotkawszy pijanego wieśniacy ustępowali mu z drogi, czuł on że nim gardzą, i chcąc się pomścić za wzgardę szukał zaczepki;— jeżeli przyszedłszy do domu zobaczył żonę spłakaną lub wymówkę od niej usłyszał, wiedział że na to zasłużył, ale nie miał dość rozsądku żeby się poprawić, zdawało mu się że przeprosić kogo za winę było by poniżeniem, chciał jak to mówią nadrobić

miną, fukał, łajał, hałasował, póki drugich i sam siebie nie zagłuszył, póki w sobie nie wmówił, że dobrze postępuje i że nikt nie ma prawa udzielania mu rady lub napomnienia. — O-tóż jak wam powiedziałam, na mocną chorobę mecnego potrzeba lekarstwa; Bóg zesłał na Filipa śmierć żony i stratę reszty szczupłego mienia, nieszczęście zastało go trzeźwym;— od razu stanęło mu na myśli całe przeszłe życie, wszystkie przykrości których żona i dzieci doznały od niego, a nie mogąc ich pierwszój nagrodzić, postanowił żyć dla tych co zostały.— Może nie raz brała go chęć wrócenia do próżniactwa, ale kiedy przyszedłszy do chaty nie zastał jak dawniej ognia ni wieczerzy, nie usłyszał łagodnego głosu, bo biedne sieroty nie mając matki kryły się w kąty

przed zachmurzoném czołem ojca, wtedy musiał wéjść w siebie, musiał się zastanowić, a za rozwagą żal i poprawa wracały.

ANTOSIA.

Ale moja mamó! jednak dziecióm Filipa smutniéj teraz jak dawniéj, możeby one wołały być przy matce choć w większym jak teraz niedostatku.

M A T K A.

Być może; ale przynajmniéj teraz nie zbywa im na nicém, ojciec sam się poprawiwszy myśli szczerze o ich wychowaniu, posyła ich do szkoły, prowadzi do kościoła na naukę.....

ANTOSIA.

I Filipowa to wszystko robiła, mamó!

M A T K A.

Widzę że byś się nie rada dać przekonać, że tak jak Bóg rozrządził jest najlepiéj dla nas; już więc tylko kilka słów ci powiem: — któż wie czy biedna kobieta w pracy i zmartwieniu długo by była pożyła? a po tém na cóżby się zdały napomnienia nauczyciela i proboszcza gdyby dzieci w domu zły przykład widziały? gdyby im mówiono: «uczcie się, pracujcie, chwalcie Boga i kochajcie bliźnich» a ojciec ich nie nie robił, nigdy nie mówił pacierza, i kłócił się z wszystkimi?

J Ó Z I O.

Ciekawym co też moja mądra siostrzyczka na to jeszcze odpowie, bo ja to bardzo dobrze widzę, że w chacie Filipa nie mogło się obejść bez wielkie-

go zmartwienia dla niego jeżeli się miał poprawić.

ANTOSIA.

I ja nie więcej nie powiem, bo przekonywam się że choć to całe zdarzenie jest smutném i przykrém, ale jednakże wyszło na dobre.

M A T K A.

Teraz zaś dzieci moje pamiętajcie jeszcze tę jedną przestrożę; — dobrze jest zastanawiać się i zgłębiać dzieła Boga aby Go wielbić i chwalić; ale nie godzi się dochodzić wszystkiego, nie godzi się pytać zawsze dla czego On zrobił tak, a nie inaczej? czasem potrafimy odgadnąć cel naszego Stwórcy, ale najczęściej nasz rozum za słaby na to. Najlepiej więc przyjmować wszystko

pokornie, dziękować za dobre i za to nawet co się nam przykrem zdaje, i powtarzać sobie zawsze że Bóg nas kocha, że chce naszego szczęścia, i że dla tego należy mu ufać we wszystkim.

J Ó Z I O.

Ach mamó! ja to rozumiem! to tak jak kiedy ty mi każesz robić co mi się nie bardzo podoba, z początku się namyślam, ale po tém mówię sobie, pewnie to tak być powinno, mama chce żeby mi później dobrze było, ona nas tak kocha!

M A T K A.

Zważ więc jakim by występkiem było żądać we wszystkim rachunku od Boga, kiedy rodzice ani w tysiącnej części tak swych dzieci kochać nie mogą jak on ludzi ukochał.

ANTOSIA.

To ja okropnie byłam niewdzięczną!
ależ mamó, kiedy Bóg tak nas kocha
to mi pewnie daruje?

M A T K A.

Tak się spodziewam kochana Anto-
siu, ale pamiętaj, co ci się tylko w ca-
łym życiu złego lub dobrego zdarzy, nie
myśl nigdy: dla czego? lecz powiedz
sobie w duszy: »Bóg tak chciał.« —

ROZMOWA VII.

R O Ś L I N Y.

J Ó Z I O.

Widzisz Antosiu jak to źle brata nie
słuchać; — powiedziałem że jak tę lew-
konie do kloniku przesadzisz to uschnie,
i uschła.

ANTOSIA.

Prawda że na ten raz masz słuszość,
ale dla czego krzaczek ten zniszczał? bo

wiem z pewnością że kwiaty nie mają takich dziwactw jak ty utrzymujesz.

J Ó Z I O.

Ot! znowu mi nie wierzy; kiedy ci powiadam z pewnością, że kwiaty tego klombu nie lubią.

ANTOSIA.

Czy to może być mamo?

M A T K A.

W rzeczy samej żaden kwiat nie chce się przyjąć w tym klombie, ale nie z kaprysu, tylko dla tego że to jest miejsce suche, zacienione, a zatem rośliny nie mają tu tyle światła i pożywienia ile im potrzeba.

J Ó Z I O.

Alboż rośliny potrzebują pożywienia?

M A T K A.

Wszystko co żyje potrzebuje pożywienia.

J Ó Z I O.

Tak, to co żyje; ależ żaden kwiat nie chodzi, nie rusza się o swojej mocy.

M A T K A.

Jednakże żyje; — patrz na ten krzaczek jasminu jak świeży, jak listki jego zielone, jak kwiaty pachną; — a ten drugi zeschły, zwiędły, już ani barwy ani woni w nim nie ma, któryż z nich żyje?

J Ó Z I O.

Jeżeli mama tak uważa, to pewno że ten żyje co świeży; ależ co żyje, czy ptak, czy zwierzę, czy człowiek, to zabić można, a krzaku ani drzew nikt

przecię nie zabije; chyba by zrąbać trzeba; — i tak jeszcze widziałem jak ścięte drzewo zieleniło się długo, dopóki po tém samo nie uschło.

M A T K A.

I z tego sobie ułożyłeś że ono ani żyło, ani zabitem zostało? — Otóż żeby się przekonać iż rośliny żyją zacznijmy uważać tę lewkonję. — Wykop dwa jej kuczaczki, jeden świeży drugi zeschnięty..... Wiesz jak się zowie część rośliny zapuszczona w ziemię?

J Ó Z I O.

To korzeń.

M A T K A.

Korzeniem jak my ustami przyjmujemy roślina pożywienie, czyli wilgoć w

ziemi zawartą. — Teraz przełam pień kwiatu; — wiesz co to pień?

J Ó Z I O.

Ta prosta łodyga nad korzeniem.

M A T K A.

Oderwij teraz od pnia gałązkę i przypatrz się dobrze rozdzielonym miejscom. Cóż tam widzisz?

J Ó Z I O.

Nic, — chyba to że się jakiś sok sączy z każdej łodygi.

M A T K A.

Czy w całej téj łodydze jak ją nazywasz tylko sam sok się mieści?

J Ó Z I O.

Nie; są jeszcze jakby cienkie nitki ciasno jedna przy drugiej ułożone.

M A T K A.

Te nitki czyli włókna, są u roślin
tém, czém żyły u ludzi i zwierząt;—
jak w nas krąży krew, tak tu krążą soki
które korzeń z ziemi wyciągnął; włókna
te rozechodzą się do każdej gałązki, do
każdego listka, do najdrobniejszej kwia-
towej niteczki, i póki starczy wilgoci
żywią zarówno małeńki krzaczek jak
ogromne drzewo. — Jeżeli chcesz się
przekonać czy to prawda rozważ zeschłą
lewkonję.

J Ó Z I O.

Ach prawda mamo! tu od korzenia aż
do kwiatu nie ma i kropelki soku, a
żyłki tak wyschły żeby je wszystkie po-
liczyć można.

A N T O S I A.

Ale czy tylko z téj jednej przyczyny

rośliny umierają kiedy im brak żywno-
ści? pamiętam że mi nie jeden kwiat
usechł choć go co dzień świeżą wodą
polewałam.

M A T K A.

Może się robak zakradł i korzenie
podgryzł; może nie było dość ciepła
i światła.

A N T O S I A.

Czy światło koniecznie roślinom po-
trzebne?

M A T K A.

Koniecznie; tylko mchy krzewią się
w ciemnościach, lecz inne rośliny nie-
chaj rosną w ciemném jakim miejscu,
a tylko małym otworem niech do
nich światło dochodzi, wszystkie gałą-
zki swoje ku niemu obróć, wszystkie

od strony światła żywsze i zieleniejsze będą.

ANTOSIA.

Dziwna rzecz!.... ależ to zawsze smutne takie roślinne życie; stać w jednym miejscu, nie być w stanie ani się poruszyć, ani obronić!....

M A T K A.

Prawda że przed gwałtownym niebezpieczeństwem roślina zasłonić się nie może, lecz ma ona uczucie albo raczej przeczucie zwyczajnych, codziennych przykrości, i starannie ich unika.

J Ó Z I O.

Jakim że to sposobem?

M A T K A.

Wskażę wam kilka przykładów; po-

wój błękitny, którego delikatna barwa nie zniosła by nocnego chłodu, zamyka liście kwiatowe z wieczora i nie otwiera ich aż o wschodzie słońca; — jeżeli długo panowała susza, a deszcz ma nastąpić, rośliny spragnione orzeźwiającej wilgoci podnoszą w górę gałązki, liście zwijają w kształt rurek, ażeby mogły łatwiej uchwycić kropelki deszczu i spuścić je łodydze i korzeniom; jeżeli zaś deszcz trwa za długo, rozwijają się liście jak można najszérzej, pochylają się ku ziemi, aby po gładkiej powierzchni woda daleko spływała; — na wiatr szerokie liście zbliżają się ku sobie, ściskają się w jak najszczupłą przestrzeń, jak gdyby wiedziały że im mniejsza i cieńsza gałązka, tém się łatwiej przed burzą i wichrem ostoï. —

JÓZIO.
Ja na to nigdy jeszcze nie uważałem.

ANTOSIA.

Ani ja.

JÓZIO.

Ale powiedz mi mamo; (bo już teraz rozumiem że rośliny żyją) powiedz mi czy one kiedy chorują?

MATKA.

Często bardzo;—nie raz widzimy listki i gałęzie pochylające się, więdnące kwiaty, usychające łodygi, ale rzadko kiedy ludzie odgadną istotną tego przyczynę.—

JÓZIO.

Może też czasem tak jak my za wiele sobie pozwolą.—

ANTOSIA.

Ha! ha! ty myślisz że się kwiaty mogą nadto najeść lub napić?

MATKA.

Zdarza się i to, że rośliny zbyt wiele soków nabrawszy stają się ociężałe—lecz zaradzono temu aby im takie przesylenie nie szkodziło.

ANTOSIA.

Jakże to?

MATKA.

Każda część rośliny, od korzeni aż do najdrobniejszej szypułki ma na sobie mnóstwo otworków których okiem, dojrzyć nie można, jedne z nich przeznaczone są na wciąganie powietrza, drugie zaś na wyziewanie czyli wypuszczanie zbytecznych soków.—

J Ó Z I O.

Ależ tego nie widać.

M A T K A.

Nie widać na pierwszy rzut oka, bo wyziewy te są jak najdelikatniejsza para, która się zaraz w powietrzu rozchodzi;— lecz na wszystko są sposoby, i tak przykrywszy roślinę szklannym dzwonem, u rzymy wyziewy jęj osiadające na szkle jak para, później zbierające się w kropelki, a tak można się nawet dowiedzieć jak wiele Źzytecznych soków roślina tym sposobem zwraca.—

ANTOSIA.

Nie wie mama ile tęż to być może?

M A T K A.

Nie zawsze jednakowo, lecz powi-

dano mi, że jedna łodyga słoneczniku z kwiatem i liściem, wydała tym sposobem funt wody w jednym dniu.

ANTOSIA.

Droga mamó! jak tęż to w najmniejszej rzeczy widać mądrość i dobroć Boga! jak on wszystko przewidział! każde stworzenie zabezpieczył.—

J Ó Z I O.

I wszystko w jednym tygodniu! ja-
bym przez tydzień ledwie wszystkie rośliny zrachował.

ANTOSIA.

Gdybyś je znał jeszcze.—Ale przecież Bóg nie same rośliny stwarzał przez tydzień.

J Ó Z I O.

Ja wiem;— jednego dnia powiedział Bóg;— niech ziemia wyda trawy, zioła,

drzewa, i różne rośliny, a każda z nich niech ma w sobie nasienie. I stało się...

ANTOSIA.

Mnie się zdaje że Bóg w końcu dla tego stworzył człowieka, aby on miał staranie o wszystkiem na ziemi, żeby uprawiał ziemię, żeby ją zasięwał, bo inaczej znów by się zrobiła pustą jak dawniej.

M A T K A.

Mylisz się Antosiu; Bóg kazał człowiekowi pracować, ale tylko na swoje wyżywienie; ziemia zaś nie potrzebuje stróża ani dozorczy, wszystko na niej tak jest urządzone, że niczyj jej nie potrzebuje pomocy.—

ANTOSIA.

Oj! co nie, to nie; — na cóż by się na przykład przydało nasienie roślin,

gdyby nie było komu zebrać go, uszyć, i zasiać na nowo?

M A T K A.

Jak myślisz? co by się też stało z nasienneziarnkami, gdyby ich ludzie nie zbierali?

J Ó Z I O.

Poszłyby z wiatrem, alboby spadły na ziemię.—

M A T K A.

A spadłszy, czy sądzicie żeby nie zeszły tak dobrze jak gdy je człowiek rzuci?

ANTOSIA.

Może żeby zeszły, ale jużby to tak dobrze nie było, bo w jedném miejscu było by roślin za nadto, a w drugiem nic.—

M A T K A.

Któż wie? może i na to Bóg przewi-

dział środki; — i tak: wielkie drzewa które stojąc blisko siebie przeszkadzałyby jedno drugiem, mają nasiona tak utworzone że je najłżejszy wiatr porwać i daleko unieść może. — Nasiona roślin nadwodnych mają jakby błonki, na których płyną z wodą bez uszkodzenia. Inne opatrzone są w haczyki, któremi czepiają się przechodzących zwierząt lub ptaków, i z nimi winne przechodzą strony. — Nie raz w gorących krajach widziano rośliny uprawiane na północy; na wysokich górach, gdzie jeszcze nie mieszkali ludzie, można spotkać kwiaty i zioła rosnące w oddalonych dolinach. — Widzicie więc że Bóg nie potrzebuje pomocy człowieka do zachowania swego dzieła.

J Ó Z I O.

Na cóż więc ludzie tak pracują? —

po co orać, włóczyć, siać, kiedy i bez tego wszystkoby wyrosło?

M A T K A.

Powiedziałam już że człowiek dla siebie, dla swojej dogodności pracuje; — gdyby się spuścił na takie rozmnożenie roślin, jak niem wiatr, woda, lub ptaki pokierują, gdzieżby szukał zbioru? — Chcąc mieć każdy gatunek osobno, w znacznej ilości, w bliskim i dogodnym dla siebie miejscu, musi sobie zadać trochę pracy i zachodu. —

A N T O S I A.

Rozumiem mamę; — ale chciałabym wiedzieć czy też to prawda że rośliny tak się bardzo rozmnażają, że aż poszło w przysłowie, »ziarnko zboża w ziemi, to dukat w kieszeni« —

M A T K A.

Łatwo w to uwierzyć gdy pomyślimy ile to ludzi, zwierząt, ptaków, żywi się zbożem, a przecież co rok i na zasiew, i na schowanie jeszcze wystarczy. —

J Ó Z I A.

Więc moja mamo, jakby to długo trzeba czekać żeby z jednego ziarnka zebrało się do prawdy tyle co dukata warto? —

M A T K A.

Zadawszy sobie cokolwiek pracy możnaby to w krótkce obrachować; jedno ziarno wrzucone w ziemię wyda przy urodzaju ziarn 20, plon pomnaża się więc co rok o 20 razy, i chcąc rozwiązać pytanie Józia należy tylko obliczyć

ile lat trzeba czekać na pół korca przynicy, bo za nie dopiero można wziąć dukata.

A N T O S I A.

A ileż powinno być ziarn w półkorcu?

M A T K A.

Nie liczyłam, ale wiem że w kwaterce jest ich 5,000.

A N T O S I A.

O! już ja to sobie wyrachuję. —

ROZMOWA VIII.

ŹRÓDEŁKO WSASKIM OGRODZIE.

ANTOSIA.

Patrz mamó! jakieś wiersze w Kurjerze, który Franciszek właśnie z pocztą przyniósł. — Czy można przeczytać?

MATKA (spójrzawszy na Kurjera)

Owszem! czytaj.

ANTOSIA (czyta)

W Saskim ogrodzie

Było źródółko gościom ku wygodzie,
A przy źródółku blaszany kubeczek;
Ale się gościom zachciało szklaneczek,
Bo szklaneczka przezroczysta,
Łatwo się przekonać, czy też woda czysta.
Nie dziwnego, że każdy pragnie mieć
wygodę;
I odtąd chłopcy w szklankach przedawa-
li wodę;

Jeden się na to krzywił,
Drugi przemysłowi dziwił,
A chłopcy grosze
Zbierali potrosze,
Gdyby ten dar od Boga z wdzięcznością
przyjęli

I ocenić go umieli,
Byliby dotąd źródółka panami;
Lecz tak rzekłszy między nami,

Różne im nie piękne rzeczy zarzucano;
Więc ze *Szkołki* ubogie sierotki we-
ziano,
I odtąd dobre dziecięcki,
Roznoszą szklanne kubeczki;
Żaden wody nie sprzedaje;
Bo **BÓG** wodę darmo daje.
Ale gdy serce czyje ten pomysł pochwala,
Pod cieniem lipy siedzi Starzec zdala,
Najmniejszą ofiarę do puszek przyjmuje,
Imieniem sierotek uprzejmie dziękuje;
A ci co w miłosierdziu znajdują rozkosze
Składają złotóweczki, trzechgroszówki,
grosze;
BÓG miłosierdzie ocenia,
Grosze w dukaty zamienia,
I jak rosę zsyła kwiatkom
Dobroczyńców daje dziatkom.

M A T K A.

Pamiętasz zapewne Saski ogród w
Warszawie?

ANTOSIA.

Jakżebym nie pamiętała! wszakżeśmy
po nim prawie co dzień chodzili.

J Ó Z I O.

Tyle tam było kasztanów!

ANTOSIA.

I tych chłopców pamiętam co wodę
przedawali, bo kiedy raz wypita kubek
wody i dałam grosz, to ten co mi
podawał skrzywił się brzydko i powie-
dzał: tak ładnie ubrana a tylko grosik
dała!... zaraz też sobie pomyślałam że
to prawda co Babunia mówi, że w War-
szawie wszystko bardzo drogie, kiedy
nawet wodę kupować trzeba.

JÓZIO.

Lepiej to jednak u nas na wsi, bo choćby kto wiadrami czerpał wodę to mu płacić nie każą.

MATKA.

I w Warszawie nie płaci się za wodę; tylko w Saskim ogrodzie przemysłne chłopcy wynaleźli sobie tym sposobem łatwy zarobek, że przechodzącym podawali wodę w szklanych kubkach, a że tam najczęściej chodzą osoby zaможne, lubiące czystość i wygodę, każdy wolał dać parę groszy, jak sam sobie pompować wodę w blaszany kubeczek zawieszony przy studni.

ANTOSIA.

Ależ w tém nic złego nie było że te

chłopczyki chcieli sobie parę groszy zarobić?

MATKA.

Zapewne, gdyby tego na dobre użyli, ale dzieci te przywykłe do próżnowania, marnowali pieniądze na łakocie, a co gorsza przegrywali je w gry rozmaite.

JÓZIO.

Któż teraz podaje wodę?

MATKA.

Sierotki wychowywane staraniem Towarzystwa dobroczynności.— Czy pamięta Józio co to za Towarzystwo?

JÓZIO.

Pamiętam; jest to wielu dobrych ludzi co się umówili wspomagać biednych.

M A T K A.
Niech i tak będzie jakeś powiedział,
widzę ztąd że rozumiesz co ci powia-
dano.

A N T O S I A.
Byliśmy z Babunią w domu tego to-
warzystwa, bo tam żyje stara Babuni
służąca, Józefowa.

J Ó Z I O.
Wiem że tam było dużo dziadków i
babek, wszyscy jednakowo ubrani sie-
dzieli na ławkach; jedni przędli, darli
pierze, robili pończochy.....

A N T O S I A.
A gdyśmy wychodzili, przy drzwiach
stało mnóstwo ubogich z miasta, któ-
rym w garnuszki rozdawano jedzenie.

J Ó Z I O.
Ale ja szkółki nie widziałem.

M A T K A.
Nie byliście w niej, ale jak tylko do
Warszawy pojedziemy to was tam za-
prowadzę, bo nie widziałam nigdy tak
dobrych, tak moralnie wychowanych
dzieci jak tam.

A N T O S I A.
Czy są tam i dziewczynki?

M A T K A.
Nie, tylko trzydziestu sześciu chłop-
czyków.

J Ó Z I O.
To dużo! musi im być wesoło.

M A T K A.
Zapewne; po skończonych naukach

wolno im biegać, bawić się przyzwolicie, najczęściej jednak śpiewają, i nigdy nie zapomnę jak mię rozrzewnili, śpiewając dobranemi głosami znaną pieśń wieczorną »Wszystkie nasze dzienne sprawy.« Było to wieczorem, chłopcy stali na obszerném podwórzu, a do koła starcy siedząc na ławach powtarzali w duszy pobożne wyrazy.

ANTOSIA.

Jakbym ja ich chciała widzieć!

JÓZIO.

Czego ich też tam uczą?

MATKA.

Wielu rzeczy; i tak: najprzód każdy z nich musi najprzód umieć zrobić sobie całe odzienie i obuwie; czytać, pisać, rachować; prócz tego uczą się ry-

sować, śpiewać bo to jest miła i przyzwolita zabawa, łatwych robót ręcznych, i niemieckiego języka, bo ta wiadomość koniecznie rzemieślnikowi potrzebna, a wszystkie te dzieci rzemieślnikami będą.

JÓZIO.

A to dla czego?

MATKA.

Bo człowiek nie mający majątku ani wysokich nauk, w rzemiośle tylko może się uczciwie i przyzwoicie wyżywić.

ANTOSIA.

Oni jednak wiele umieją: kto ich też moja mamó tego wszystkiego uczy?

MATKA.

Kilka osób należy do tego chwale-

bnego dzieła, lecz najwięcej biedne sierotki winne są Członkowi Towarzystwa Dobroczynności, Przełożonemu nad tą szkołą; bo on nie tylko że dopełnia dobroczynnego czynu, ale kocha ich, myśli o nich dniem i nocą jak o własnych dzieciach, i coraz nowe wynajduje sposoby do ulepszenia ich bytu, do udoskonalenia ich duszy i serca.

ANTOSIA.

Ach mammo! gdybym ja Go kiedy zobaczyć mogła!

M A T K A.

Spodziewam się że kiedyś poznać tego zacnego męża, a gdy się wasz umysł rozwinie, dopiero będziecie wstanie ocenić, ile dobrego jeden tak świa-

ły i dobroczynny człowiek może zrobić na świecie.

Dzieci milczały długo, przejęte poszapowaniem dla nieznanego sobie męża, bo nie tak młodych serce nie wiąże, jak przychylne dla ich wieku uczucie; prawdziwy przyjaciel dzieci, od znanych i nieznanym sobie wielbionym będzie. Nakoniec Antosia zwróciwszy przypadkiem oczy na Kurjera którego dotąd w rękę trzymała rzekła:

— Moja mammo! tu napisano:

Żaden wody nie sprzedaje,

Bo Bóg wodę darmo daje.

Wszakże Bóg wszystko darmo daje a jednak tyle rzeczy kupować trzeba.

M A T K A.

Naprzykład?

ANTOSIA.

Naprzykład: chleb, gruszki, śliwki, i tyle rzeczy, żebym ich i wyliczyć nie mogła.

M A T K A.

Wszystko to coś dopiero wspomniała potrzebuje starań ludzkich, i tak: chleb nie rodzi się z ziemi takim, jakim go jemy, trzeba zrodzone ziarno zżąć, wymłócić, umleć na mąkę, z mąki zarobić ciasto i upiec w piecu; chcąc mieć dobre owoce, trzeba je najprzód szczepić, pielęgnować drzewa, oczyszczać korę, wytępiać robactwo, sprzedający więc nie za ziarno i owoc ale za swoją pracę płacić sobie każe.

ANTOSIA.

Rozumiem mamó; więc i w Saskim

ogrodzie nie za wodę lecz za usługę się płaci.

M A T K A.

Nieinaczéj, z tą tylko różnicą że dawniej chciwe, nieobyczajne chłopcy nikomu darmo usłużyć nie chcieli, dziś zaś łagodne i grzeczne dzieci wszystkim chętnie usługują nie wymagając zapłaty.

J Ó Z I O.

Więc teraz możnaby pić wodę i nic za to nie dać?

M A T K A.

Można; ale któżby za grzeczność nie chciał się podobnie odwdziżyć, tém bardziej, kiedy mały dar może się przyczynić do szczęścia naszych bliźnich.

ANTOSIA.

Ja też teraz jak przyjadę do Warszawy, i przyjdę do Saskiego ogrodu to całą złotówkę dam dobrym chłopczykom.

JÓZIO.

A ja muszę iść do szkółki i zaznać się z nimi.

MATKA.

Z największą chęcią zaprowadzę was tam moje dzieci, bo wiem że wiele skorzystacie widząc uczniów tej szkółki, i bardzo bym sobie życzyła żebyście byli równie szczeremi, pobożnemi, pracowitemi jak oni.

ANTOSIA.

Powiedzże mi moja mamo, (bo ja zawsze do jednego powracam); więc

nie ma nic na świecie za co byśmy cię nie powinni? bo nad wszystkiemi iadzie pracują.

MATKA.

Tylko wodę i cień każdy bez pracy i zachodów mieć może.—

ANTOSIA.

Dziwnie by też to było gdyby kto za cień żądał zapłaty.

MATKA.

Był jednakże taki człowiek, i zaraz wam o nim powiem.

JÓZIO I ANTOSIA.

Opowiedz! opowiedz prosimy cię mamo!

MATKA.

Przed dawnemi czasy, w pięknej o-

kolicy mieszkał zamożny kowal; dom jego obfitował we wszystko co tylko do wygody życia potrzebne, grunta miał obszerne, bydła sztuk kilka, doskonale kuźnicze narzędzia, i jak mówiono, piędzdy podostatkiem. Był to człowiek pracowity, spokojny, nikomu nie wszedł w drogę, a mimo to nikt go nie lubił, bo był chciwym i nie użytym, nigdy nikomu najmniejszej nie wyświadczył przysługi. — Nie raz go wieśniak prosił o pożyczenie kilku złotych, nie raz błagał o podkucie konia lub naprawienie gospodarskiego narzędzia; naprożno! na wszystkie prośby kowal odpowiadał: zapłać! Poznawszy jego charakter sąsiedzi udawali się do kuźni tylko w koniecznej potrzebie, ale nie raz wieczorem siadali pod kasztanem co od niepamiętnych czasów stał blisko drogi;

bo choć należał do kowala, wieśniacy lubili szeroki cień jego, i widok rozciągający się na drogę, pola i wioskę. Nie raz także wieśniaczki biegły do źródła tryskającego ze wzgórka na którym kuźnia stała, bo w całej wsi nie było tak świeżej i smacznej wody. Niemilem okiem poglądał kowal na te odwiedziny, i przykro mu było że drudzy korzystają z jego własności; postanowił więc opłatę od spoczynku pod kasztanem, i od każdego wiadra wody czerpanej u jego źródła. — Z tąd większą jeszcze niechęć ku sobie wznicił w mieszkańcach wioski, lecz dochód jego się zwiększył; bo choć nie codzień, to przynajmniej w niedzielę chłopkowie woleli złożyć po groszu, a posiedzieć na dawno ulubionym miejscu. — Oszczędne gospodynie wołały przestać

na swojej wodzie, lub nosić ją z dalekiego strumienia, niż każde wiadro opłacać kowalowi; lecz gdy nadeszło niezmiernie suche i gorące lato, gdy w wiejskich studniach woda się popsuliła, a strumień wysechł zupełnie, trzeba było znosić grosze żeby nie cierpieć pragnienia.

Nieużyty człowiek cieszył się z powszechniej klęski, i jeżeli kiedy, to teraz pewno nie pozwolił bezpłatnie zaczerpnąć wody u źródła.

Pewnego dnia w południe, gdy słońce najmocniej piekło, a kowal zjadłszy obiad spoczywał przed domem; starzec słaby i wynędzniały, z trudnością wlokąc bezsilne nogi siadł przy źródle, i z wyrazem prawdziwej radości nadstawił dłoń pod świeżą wodę tryskającą z darniny.—

—A masz dziadu pieniądze? krzyknął pan domu, któremu się uboga powierzchuność starca nie podobała.

—Nie mam panie ani grosza, odrzekł staruszek, jeszcze nawet nie jadłem od rana.

—To i pić nie będziesz; mruknął kowal, bo tu się płaci za wodę!

Biędny staruszek w milczeniu powstał od źródła, nie odwilżywszy ust spieczonych pragnieniem; ale odchodząc; spojrział tak żalosnem okiem na kowala, że jego uczeń, młody i dobry chłopak wzruszył się do głębi duszy.—Wędrowiec tak się zdawał utrudzonym, że kowalezyk litował się nad nim myśląc że nie będzie w stanie dowlec się do drugiego źródła, a korzystając z chwili gdy pan jego wrócił do izby, sam schwy-

cił dzbanek gliniany, czerpnął wody i poskoczył za spragnionym staruszką.

— Niech ci Bóg nagrodzi litościwy młodzieńcze! rzekł starzec i podniósł do ust chłodzący napój, lecz w przód nim połknął kropełkę, podejrzliwy kowal śledzący poruszenia swego ucznia, wytrącił dzbanek z drżących rąk wędrowca, w najobelżywszych wyrazach zaczął mu wyrzucać, że jego domownika do kradzieży przywiódł; a nie znając miary w swym gniewie, posunął się aż do wybicia swego ucznia. — Cnotliwy młodzieniec tknięty do żywego takim obejściem, zniósł je cichliwie, ale wróciwszy do domu zebrał swoje rzeczy, i zażądał od majstra aby go uwolnił. — Rozjątrzony kowal przystał na to od razu, bo tkliwa i szlachetna dusza ucznia dawno już nie była mu do sma-

ku, i w godzinę po wypadku który wam opowiedziałam, sam jeden został w kuchni i w domu.

Wieczór już zapadł, gdy nasz chciwiec zaprzestawszy roboty wyszedł znów przed dom, i zwracając oczy ku drodze, spostrzegł dwóch ludzi siedzących pod jego kasztanem; biegnie do nich, a widząc nieznajomych oświadcza im: że za cień tego drzewa grosz od osoby zapłacić trzeba.

— Ależ teraz cieniu nie ma; rzekł jeden z siedzących.

— To nie nie znaczy zawołał zawstydzony kowal, kto chce tu siedzieć ten zapłacić musi.

Nieznajomi spojrzeli po sobie.

— Dobrze, powiedział z nich jeden: ale wydasz nam resztę z talara, bo dro-

bnych nie mamy pieniędzy, i powstawszy poszli za kowalem; lecz gdy ten wszedłszy do domu zaczął zbierać po szufladkach grosze i trzygroszniaki, dwaj nieznajomi rzucili się na niego, a związawszy mu ręce i nogi, przetrząsnęli dom cały i zabrali wszystko co było, bo to byli dwaj złoczyńcy znani w okolicy ze śmiałych kradzieży.

Kowal przez całą noc i dzień następny, próżno się silił porwać więzy co go krępowały; ból, gniew, głód i pragnienie dręczyły go okropnie, a nikt mu w pomoc nie przybywał, bo nikt go to nie obchodziło że ponurego kowala nie widać; owszem, wiejskie dziewczęta rade że od nich groszów za wodę nie żądał, napelniwszy wiadra uciekały co siły. Dopiero nad wieczorem, gospodarz jeden potrzebując nowój pod-

kowy dla konia, nie znalazłszy kowala w kuźni wszedł do domu i uwolnił go z więzów; ale troska i cierpienie przywiązały się odtąd do chciwego człowieka, nie mógł się pocieszyć po stracie pieniędzy, osłabiony na zdrowiu nie wiele zarabiał, zdrój nawet mało mu już przynosił, bo po upadnięciu obfitych deszczów wody w całej wsi przybyło, do tego jeszcze przyłączyła się zgryzota sumienia, a tak niknąc i dręcząc się powoli chciwy kowal umarł w nędzy nie żałowany od nikogo.

ANTOSIA.

To smutna powieść mamó.

MATKA.

Prawda, bo zawsze smutno wspomnieć o człowieku który swym braciom darów Boga żałuje.

JÓZIO.

Pewny jestem, że z tych chłopczyków co teraz w Saskim ogrodzie wodę podają, żaden takim nie będzie.

M A T K A.

I ja tak jestem przekonana, bo nie raz widziałam, jak darowane sobie kilka groszy zamiast użyć na przysmak lub zabawkę jaką, wkładali do puszki przeznaczonej na cel dobroczynny.

A N T O S I A.

O! pewnie każdy z nich takby sobie postąpił jak uczeń kowala.

JÓZIO.

A co się też z nim stało?

M A T K A.

Nie wiem tego dzieci moje, lecz domyślam się że dobrze mu się wiodło przez resztę życia, bo Bóg błogosławi zawsze dobrych i litościwych ludzi.

Spis Rzeczy.



Wstęp	str. 5
Rozmowa I. Świat, ziemia	9
— II. Człowiek i jego dusza	25
— III. Polowanie na motyle	39
— IV. Motyle	52
— V. Potrzeba Rozwagi	69
— VI. Bóg wszystkiem dobrze rządzi	92
— VII. Rośliny	117
— VIII. Źródelko w Saskim ogro- dzie	136
Szczygielek (powiastka)	162



WYJĄTEK

Katalogu dzieł nakładowych Księgarzów

GUSTAWA SENNEWALD

- MALY HENRYŚ**, powieść moralna przełożona z niemieckiego przez pewną Polkę, wydanie trzecie ozdobione rycinami illuminowanemi, pomnożone nową powieścią moralną p. t. Tryumf wzniosłego uczucia, przełożona z francuzkiego przez Sewerynę S. in 12mo 1838 - Złp. 4
- MUZEUM MAŁE**, dla pilnych dzieci, czyli wiadomości początkowe wszystkich umiejętności 2 Tomy. 12mo z rycinami 1830 Złp. 6 gr. 15. oprawione - - - Złp. 8
- NAUKA O POZNAWANIU LICZB**, oraz początkowe wyobrażenia czterech pierwszych działań rachunkowych dla użytku matek chcących ten przedmiot dzieciom swoim wykładać 12mo 1832 - - - Złp. 3 gr. 10
- ODWIEDZINY BABUNI** czyli powieść dla zabawy grzecznych dzieci napisana przez Annę Nak.... Część druga in 8vo 1834 - - - Złp. 2
- PIERWSZE NAUCZKI DLA TADZIA**, przez Antoninę J***** z rycinami 1839 - - - Złp. 5
- PAMIĄTKA PO DOBREJ MATCE**, czyli ostatnie jej rady dla córki, przez młodą Polkę wydanie piąte Złp. 5
na papierze welinowym - - - Złp. 6 gr. 20
- POWIEŚCI STAREGO WĘDROWCA**, przez Autorkę Pamiętników młodej Sieroty 1839 - - - Złp. 6
- RADY DLA MŁODYCH DZIEWCZĄT**, dzieło Pani Kampan, uwieńczone przez Akademię francuzką. Wolny przekład z zastosowaniem do miejsca, przez Wandę Malecką, z ryciną in 12mo 1827 oprawne - - - Złp. 4 gr. 15
- ROZRYWKI DLA DOBRYCH DZIECI**, przez Wandę Malecką, in 8vo 1830 z rycinami illum: - - - Złp. 4
z rycinami czarnemi - - - Złp. 3
- ZABAWA HISTORYCZNA Z DZIEŁÓW POLSKICH**, w sposobie Loteryi ułożona 18. 1827 w futeraliku - Złp. 3